

Cena 25 zł.

# KUŁZNIKA

Rok IV

Łódź, 25 stycznia 1948 r.

Nr 4 (125)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Prof. A. Czarska  
Łódź  
Andrzeja 31.m.3.

ADAM WAŻYK

## W KRAJU SZEŚCIU REPUBLIK



Pausa w szkole



„Ondalska Pruga”

### GWIAZDA NAD BELGRADEM

**N**A ULICACH Belgradu ciągle dźwięki nas jedno: ilu tu młodych ludzi... Byliśmy w Komitecie do spraw sztuki, w wydawnictwach, w świeżo uruchomionej fabryce samochodów, w wytwórni filmów, która pracuje spokojnie bez dobrej i złej reklamy. Czujna młodość ogrzewała sprawy wielkie i drobne. Ludzie z partyzantki, nowi albo odnowieni próbą ognia, ocieplili to surowe na oko i nieprzytulne wielowiekowe miasto, które zdaniem samych mieszkańców nie ma stylu ani charakteru i bodajże nie ma przeszłości. Tyle w tym racji, że przeszłość Belgradu, rzymska i turecka, upamiętniona warownymi murami, ruiną obcej potęgi, w nikim nie budzi sentymentu. Na wezwanie Frontu któregoś dnia mieszkańcy wyszli z domów i zasypali turecką studnię, malowniczą pamiątkę, która cuchnęła przez stulecia na głównym placu w tym samym miejscu, gdzie teraz milicjantka pazurem reguluje ruch uliczny.

Z łupiny murów warownych wyjrzało na świat miasteczko handlowe, szybko się rozrosło w ubiegłym stuleciu, aż po wskrzeszeniu Serbii doszło do godności stolicy. Znakomita studnia rzymska pod potężnym sklepieniem nie czyni Belgradu miastem starożytnym, samotny drapacz nieba nie czyni go nowoczesnym. Pałac królewski stoi o kilkadziesiąt kroków od ubogich czynszowych kamienic i podrzędnych sklepów z galanterią. Monarchia nie miała swojej historii ani dzielnicy, nie miała splendoru nawet w oczach skienikarza. Wystarczyłoby w Jugosławii, aby się przekonać, jak niewczesną dekoracją była ta korona królewska nasadzona na kompleks spraw społecznych, narodowych, dzielnicowych nie do rozwiązania w ramach gospodarki kapitalistycznej. Gdyby przynajmniej rodzina królewska w tym kraju najosobliwszych zabawków kultury europejskiej miała ambicje kolekcjonerskie! Pozostawiłaby po sobie w pałacu jakieś przyzwoite zbiory. Ale i na to się nie zdobyła. Król Aleksander zakupywał domy w Paryżu, więc musiał wyprzedawać rzadkie okazy sztuki. W pałacu zamienionym na muzeum dopiero teraz gromadzi się kopia starych fresków cerkiewnych, okazy sztuki średniowiecznej, renesansu i baroku. Dyrektor, starszy mężczyzna, wysoki, chudy, ze skłonnością do groteskowego humoru, urzęduje w gabinecie...

— Czy tu był gabinet króla?  
— Nie — odpowiada mimochodem, obojętnie, i przechodzi do rzeczy ważniejszych. Temu starymu komunistcie i konserwowi starej sztuki nie przychodzi na myśl, że mogłoby to kogoś interesować, gdzie był gabinet króla i jak się odbyły ostatni zamach pałacowy urządzony przez Anglików w 1941 roku.  
Po kilku dniach zrozumiałem tę obojętność.

W przeddzień rocznicy Rewolucji Październikowej o zmierzchu całe miasto wyległo na główną arterię. Sноп reflektora przesuwiał się z portretów Lenina i Stalina na portret Tito. Szerokością jezdnii szli młodzi chłopcy i dziewczyny, każde trzymało płonąca pochodnię. Skandowali powoli: Belgrad — Moskwa, Belgrad — Moskwa... Sądziłem, że to okolicznościowe hasło z okazji rocznicy Rewolucji rosyjskiej. Wyprowadzono mnie z błędu. Było to okolicznościowe zastosowanie hasła zrodzonego niegdyś spontanicznie. To hasło wprowadziło tłumy na ulice 30 marca 1941 roku, pod tym hasłem protestowano przeciwko wpleciu Jugosławii w oś hitlerowską. Anglicy pucili w ruch sprężynki na dworze królewskim i usunęli kapitulującego regenta, ale inna myśl poruszała masy — wiara w czerwoną gwiazdę nad Kremlem. W Muzeum Wojskowym w Belgradzie widziałem przypadkowe zdjęcia tej dramatycznej manifestacji. Łiche fotografie miały romantyczną frazję płócien Delacroix.

Teraz obracająca się czerwona gwiazda, znak partyzantów, świeci po nocach nad Belgradem, a miasto z dumą przybiera emblematy i styl zewnętrzny rewolucji rosyjskiej. Portrety wielkich rewolucjonistów wiszą w lokalach publicznych. Ruch rewolucyjny w Jugosławii zbliżył się z tradycyjnymi sympatiami dla Rosji, w której narodził się kraj, który widział ostatek — niegdyś w walce z panowaniem otomańskim, potem — z naporem austro-niemieckim. Faktycznie demokracja tutejsza ma odrębny styl pracy organizacyjnej, własny model ustrojowy przystosowany do szczególnych warunków historycznych. Jugosłowiańska droga do socjalizmu różni się także od naszej — i to pod wieloma względami. W obrocie towarowym decydującą rolę odgrywa sektor państwowy, w gospodarce rolnej obok gospodarstw indywidualnych rozwijają się spółdzielnie pracy, oparte na rodzimej tradycji grupowego uprawiania ziemi, pod starą słowiańską nazwą Zadrugi. Front ludowy, kierujący całym życiem kraju, jest organizacją masową bez precedensu. Ta forma organizacji politycznej wyłonila się w trakcie wojny ze skupienia wszystkich sił demokratycznych w walce z Niemcami, wojskami Włoch faszystowskich, chorwackimi ustaszami na służbie hitlerowskiej i wreszcie czelnikami panserberskimi, którzy w 1941 r. jeszcze się bili z Niemcami, a w dwa lata później połączyli się z nimi we wspólnej ofensywie przeciwko armii Józefa Tito. W ciągu tych lat obnażyła się treść klasowa wojny jugosłowiańskiej, i obo szowinizmy, chorwacki i serbski, ścigały na siebie wyrok śmierci politycznej. Po drugiej stronie — jedność działania poszczególnych partii i organizacji przerosła się w jedność organizacyjną Frontu Ludowego, partii demokratyczne przetopili się w jedną organizację narodową. Wspólna tradycja przebytej ciężkiej walki, uzgodniony

program i metody działania, ta sama wiara nowej Jugosławii — wytworzyły ten stan polityczny, który najprościej określił mi partyzant z 1941 roku: „Jakiś się bili, tak i budujemy”.

Szczególny prestiż partii komunistycznej uderza w oczy na terenie całej Jugosławii. Ta partia organizowała Front i ludność do wojny wyzwolenczej. Jako partia marksistowska, oparta na zasadach dyscypliny wewnętrznej, potrafiła rzucić do walki gotowe kadry, wokół których skupiały się szybko rosnące szeregi armii ludowej. Ale ten prestiż tłumaczy się nie tylko inicjatywą i rolą awangardową. Komunistki mieli prawo pierwszeństwa do śmierci. „Kiedy trzeba było przedrzeć się z okrażeń — opowiada mi partyzant — dowódca rozkazał komunistom stanąć w pierwszych szeregach. W naszym oddziale wszyscy wystąpili naprzód. Dowódca zgromił ludzi, tym którzy nie należeli do partii kazał się cofnąć. Wiedzieliśmy, że pierwsze szeregi wyginą. Wyginęli komunistki. Ta krew się liczy”.

Słuchałem opowiadań partyzantów, zażenowany, że tak mało wiemy o wojnie jugosłowiańskiej. Zachowaliśmy tylko ogólnikowy mit męstwa, uporu i determinacji, jaki mogliśmy sobie ułożyć z mglistych wiadomości w latach wojennych. W Muzeum Wojskowym w Belgradzie ekspozyty i fotografie, mapy ofensyw dają przybyszowi pierwsze ogólne wyobrażenie o przebiegu kilkuletnich walk, z których wyszli ludzie nowej Jugosławii. Czasy te wydały obfitą literaturę pamiątkarską. Za najbardziej wyczerpujące dzieło uchodzi wielki pamiętnik Vladimira Dedijera „Dnevnik”. Dotychczas ukazały się dwa tomy obejmujące przebieg wydarzeń do stycznia 1943 roku. Pamiętniki, poematy, próby powieściowe rozłożyły się na biwakach, w przerwach między ofensywami. W wojskach partyzanckich znalazło się sporo literatów, albo poprostu ludzi władających piórem. W Jugosławii bowiem, a zwłaszcza w Serbii i Bośni przytlaczająca większość inteligencji była usposobiona rewolucyjnie. Obecny prezydent Chorwacji, partyzant Nazor jest nestorem pisarzy swojego kraju. Serbski poeta nadrealistyczny Kosta Popowicz wyrósł na szefa sztabu armii jugosłowiańskiej. Literaci, malarze, naukowcy, którzy przeszli przez partyzantkę, objęli kierownicze stanowiska, aby wykonać plan pięcioletni w dziedzinie oświaty i kultury.

Wiele razy słyszałem pytanie — czy u was jest tak samo? Sens tego pytania był inny niż mogłoby to się wydać przybyszom z Polski. W nowej Jugosławii praca artystyczna jest ceniona znacznie wyżej niż praca administracyjna i opłacona trzykrotnie wyżej, niż u nas. Państwo w zasadzie dąży do uwolnienia przedstawicieli zawodów artystycznych od wszelkich funkcji administracyjnych, a stan

„WULGARNY REWOLUCJONIZM NIE  
POJMUJE TEGO, ZE SŁOWO TAKŻE  
JEST CZYNEM”

Lenin

### TREŚĆ NUMERU:

- ADAM WAŻYK —  
W KRAJU SZEŚCIU REPUBLIK
- SEWERYN POLLAK —  
„NOWE SPOJRZENIE”  
NA PUSZKINA I LERMONTOWA
- STANISŁAW PIĘTAK —  
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK —  
ANDRZEJ BRAUN —  
WIERSZE
- EWA SZELBURG ZAREMBINA —  
REFLEKSJE PO TRZECIEJ PO-  
WOJENNEJ „GWIAZDCE”
- KAZIMIERZ BRANDYS —  
SAMSON (IV)
- MARIUSZ MARGAL —  
GRUDZIEŃ PARYSKI 1947
- MIECZYSLAWA BUCZKOWNA  
O POEZJI STANISŁAWA PIĘTAKA
- EWA KORZENIEWSKA —  
NA MARGINESIE KSIĄŻKI ZA-  
WODZIŃSKIEGO
- IRZYKOWSKI W OCZACH PRZY-  
JACIELA
- KAJETAN KOTOWICZ —  
FELIETON GOSPODARCY
- PRZEGLĄD PRASY
- KORESPONDENCJA
- NOTY

obecny wynika z konieczności i uchodzi za stan przejściowy.

— Brak wyrobionych kadrow — mówi mi profesor uniwersytetu belgradzkiego. — Brak kadrow to wiadoma bolączka pierwszych lat rewolucji — mówi po francusku, bo jest to drugi język starej inteligencji serbskiej.

— Druże — odpowiadam, bo jest to pierwsze słowo serbskie jakiego się nauczyłem — druże, mam wrażenie, że wśród wszystkich nie-szczęść, jakie historia zgromadziła waszemu krajowi, pod tym względem dała wam niejaki fory. Mam wrażenie, że macie w obozie rewolucji lwia część inteligencji.

— I tę drobną resztkę również — uśmiecha się profesor — bo przeciwnik jest rozbrojony moralnie i nie ma go w narodzie.

Chciałbym kiedyś spotkać takiego profesora u nas, usłyszeć ten sam bieg myśli i te same słowa.

### NIERÓWNOŚCI I RÓŻNICE

Zaopatrzeni w dokument, który jak każdy dokument nowej Jugosławii, kończy się hasłem „Śmierć faszizmowi — słoboda narodowi!”, zjeździliśmy w bliskawiczym tempie sfederowane republiki. Dwa miasta w Macedonii, Skopje i Bitol, Lublana i dwa fabryczne miasta w Słowenii, Zagrzeb i Split w Chorwacji Sarajewo... Nie było ani jednego miasta bez rumianych cegieł postępującej budowy. W kamiennym, nasyconym barwami sercu Bałkanów rozlewisko górskie sposobilo się do przyjęcia daru rewolucji — elektryczności. W Alpach słoweńskich, na poszerzonych pagórkach potoków górskich budowano już turbiny hydroelektryczne, w którą nie potrafił zaopatrzyć tej uprzemysłowionej ziemi gnijący kapitalizm naszego stulecia. W górach Dynarskich, na zakręcie szosy w panoramie doliny bośniackiej ujrzelismy, jak równocześnie z nowym torem kolejowym wychodzi z podziemi wiza hut i stalowni dotychczas tamszonoja przez kolonialną politykę eksploatacji tutejszych rud żelaznych i węgla. Nie było republiki bez optymizmu i bez ciężkiej roboty, do której nieraz Front musi budzić ludzi z wielowiekowej vegetacji.

Ku żalowi naszych belgradzkich przyjaciół nie dotarliśmy do Czarnogórze, nie starczyło nam tchu. Gdziekolwiek byliśmy, często słyszeliśmy o tej najmniejszej republice jak o pupille rodziny. Na zawrotnych serpentynach górskich w Macedonii czy Słowenii zapowiadano nam, że dopiero w Czarnogórze przekonamy się, co to są górskie drogi. Dziwiło nas, jak mógł się Dubrownik w ciągu tylu wieków opierać Turkom. Odpowiadano nam: Dubrownik był lilem, Czarnogórze lwem. Wspomnienia trudnych przepraw partyzanckich kończyły się opowieściami o partyzantach czarnogórskich. Widzieliśmy kopalnie, garbarnie, przestarzały i skąpy przemysł półfabrykatów, gdyż na rozbudowę innego przemysłu nie pozwalał imperialistyczny kapitał. „Mamy je-

dną republikę, gdzie kapitalizmu wcale nie było. Reformy rolna położyła kres feudalnemu władaniu ziemią. „Mamy kraj, który nie przeszedł przez feudalizm”. Czarnogórze przekroczyło do nowej demokracji wprost z ustroju klanowego, nie obciążone nacłgami późniejszych form życia i zahartowane w surowych kryteriach moralnych.

— Ilu mieszkańców ma Czarnogórze? — zapytałem kiedys sąsiada przy stole.

— Proszę o to nie pytać, to tajemnica dumy narodowej. Na ucho panu powiem: od 300 do 500 tysięcy.

Rozejrzałem się, czy kto nas nie podsłuchuje.

— A skąd pan wie? — spytałem szeptem.

— Bo jestem Czarnogórcem — odpowiedział mój sąsiad z godnością.

Czarnogórze nie znało przemysłu, kolei żelaznych, elektryczności. I gdyby Jugosławia pozostała nadal w orbicie gospodarki kapitalistycznej, dumni ze swojej przeszłości i obyczajów, egzotyczni dla Europy mieszkańcy Montenegro nigdyby nie zobaczyli motoru ani lokomotywy i spędziliby nadal wieczory przy świetle łojówek. Odkryte przez Leniną prawo nierównomierności rozwoju kapitalistycznego w okresie imperializmu, prowadzące do coraz jaskrawszych kontrastów między poszczególnymi krajami, działało na terenie Jugosławii w podwójnym sensie — przez upośledzenie całego kraju i przez rozmięszczenie poszczególnych terenów na kilku szczeblach cynicznego upośledzenia.

Cytuję z publikacji o planie pięcioletnim: „Braterstwo i wspólnota naszych narodów byłaby czymś frazesem, gdyby Plan nie podjął środków właściczy do usunięcia ogromnych różnic ekonomicznych i kulturalnych znaczących się w stopniu rozwoju poszczególnych republik. W dawnej Jugosławii było inaczej. Rytm rozwoju produkcji przemysłowej na poszczególnych obszarach kraju odpowiadał doskonale polityce ucisku narodowego uprawianej przez burżuazję panserską”. Dalej następuje zestawienie statystyczne przeszłości z Planem pięcioletnim:

Table with 5 columns: Country, 1929, 1939, 1946, 1951. Rows include Jugosławia, Serbia, Chorwacja, Słowenia, Bośnia-Hercegowina, Macedonia, Czarnogórze.

Przewidywany wzrost wartości produkcji przemysłowej, kopalnianej i elektrycznej:

Table with 3 columns: Country, 1939, 1951. Rows include Jugosławia, Serbia, Chorwacja, Słowenia, Bośnia-Hercegowina, Macedonia, Czarnogórze.

Trzeba dobrze przyjrzeć się tym cyfrom. Plan pięcioletni całego kraju ma pomnożyć przemysł pięciokrotnie. Ale ważne jest rozmięszczenie terenowe. Nie dość jest dźwigną przemysł dla zapewnienia krajowi większej samodzielności gospodarczej, trzeba równocześnie wyrównać różnice w rozwoju poszczególnych republik wywołane prawem nierównomierności kapitalizmu.

W życiu Jugosławii wchodzi w grę jeszcze inne różnice—wielowiekowa mozaika etnografii, losów, tradycji i form kulturalnych. We wszystkich republikach podawano nam kawę w mosiężnym tureckim naczyniu i była to może jedyna wspólnota obyczajowa starej Jugosławii. Wszystko, co jest ważniejsze od kawy, niewyżyciwa przeszłość pogmatwała. Trzy wyznania — wschodnie, katolickie i muzułmańskie, dwa alfabety — łaciński i cyrylicy. Język Serbów i Chorwatów nie różni się bardziej niż dwa dialekty dzielnicowe tego samego języka, serbiczny lub kroatyjski obowiązują w piśmiennictwie zależnie od alfabetu jakim się pisze. Ale tylko jakiś zakamieniał abstrakcjonista ośmielił się twierdzić, że to ten sam naród. Język Macedończyków niewiele różni się od bułgarskiego, ale narodowość macedońska jest faktem historycznym. Skiptarzy macedońscy traczą pochodzenia mówią zupełnie innym językiem, ale nie osiągnęli szczebla świadomości narodowej. Czarnogórze ma świadomość odrębności na szczeblu, który trudno nazwać inaczej jak narodowym, chociaż Czarnogórcy mówią po serbsku i posługują się cyrylicą. Pomimo tysiącletniej niepodległości Dubrownika czternaście tysięcy mieszkańców tego miasta uważa się za stuprocentowych Chorwatów. Słowenia jest republiką par excellence narodowa (zwłaszcza po pozbyciu się Niemców) nie jest nią wcale Bośnia — Hercegowina, bo jest to tylko specyfikacja etniczna, osobliwość w systemach demokracji ludowych lub socjalistycznych, ale osobliwość aż nadto uzasadniona. Zasada, na której opiera się odrębność tej republiki, wynika ze szczególnego upośledzenia, w jakie historia wtrąciła tubylców, z przekleństwa losów, które nowa demokracja podjęła się zdjąć z tego kraju.

Podróż po Jugosławii pokazała nam tę maczkę w oszalałej psirokacji. Poka-

zała nam coś więcej — w obraz chaotyczny wdziera się myśl, która nie jest martwą doktryną, ale żywą metodą rozwiązywania najprzedziwniejszych zasupiań historii. Myśl marksistowska stworzyła zarys Federacji Jugosłowiańskiej i jej organizacyjne formy życia, nakazując znieść nierówności i uszować różniactwo.

W BALKANACH

W Skopie wręczono nam pierwszą książkę w języku macedońskim. Odwiedziliśmy ministra oświaty. Stolica nowego państwa składa się z dwóch dzielnic historycznych, połączonych mostem. Dzielnica turecka czyli stara, dzielnica macedońska czyli nowa. Urzędy i całe życie organizacyjne skupia się w nowej dzielnicy. Po drodze zapowiedziano nam wstydliwie, że ze względu na ciasnotę lokali i trudności mieszkaniowe urzędy nie wyglądają reprezentacyjnie. Nasi macedońscy przewodnicy nie wiedzieli, jak urzędowały ministerstwa polskie w Warszawie w roku 1945!

W czyszowej kamieniczce skopińskiej pachniało świeżym pokostem, wieszak, dla którego nie starczyło miejsca w przedpokoju, stał w gabinecie ministra. Minister oświaty ma dwadzieścia cztery lata. Opowiada nam o szkołach początkowych i średnich, o szkołach zawodowych i uniwersytecie, który ma już trzy wydziały. Macedonia chce być czymś więcej niż krajem wyrobów ceramicznych. Macedonia nie chce orać drewnianą sochą i w ciągu pięciu lat przeskończy od średniowiecza do społeczeństwa. W rozmowie powtarzają się najpowszechniejsze słowa z języka inteligencji macedońskiej. Te słowa — to feudalizm i średniowiecze, elektryczność i przemysł...

Wyszliśmy i po kilkunastu krokach, minąwszy mostek, zapuściliśmy się w uliczkę tureckiej dzielnicy. Z hoku za miastem w jesiennym listowiu tonęły ruiny rzymskiego akweduktu. Młody poeta macedoński wykrzyknął zdanie z Majakowskiego i uścił mi z radości, kiedy odpowiedziałem mu polskim przekładem: „Jako do naszych dni dociera wodociąg wzniesiony jeszcze pracą niewolników Romy”. W ciasnym kramiku spotkałszy rosłą Serbkę, która mówiła jakimś dziwnym i pięknym językiem o zimowym paletku kupionym właśnie dla dziecka i nie wiem jak się to stało, że wprowadziła nas pod sklepienia kamiennej budowli, która niegdyś służyła tureckim kupcom za dom noclegowy. Odczytywała nam po łacinie skróty napisów na zebranych tu płytach rzymskich nagrobków. Komentarzowała po francusku. Języki mieszały się, usta i twarze tonęły w uczulającym półmroku. Partyzant z Serbii zajmujący się ochroną zabytków, skakał po dachu, sprawdzając czy drewniane dachówki nie przegnyły od deszczu. Był tutaj gościem i wykończył te stoki z codziennej troski, a nie z obowiązku. Wieczór zapadał, w uliczkach Turcy sprzedawali dywany i świecidełka, pieczenie kasztany i paprykę, od której gardło i żołądek natychmiast zajmują się ogniem. Młodziutka macedońska dziennikarka prowadziła nas wzdłuż kamiennej bariery, nie wiedziela, że jej drobna postać, ramiona, oczy i twarz, że prawie wszystko w niej było skalkowane ze średniowiecznych fresków i bezwiednie wyszeptwała nuty jakiejś piosenki, która była ciągle ta samą piosenką młodzieży tytowskiej. W oświetlonych jatkach sprzedawano jeszcze bataninę, po przeciwległej stronie rzeki w nowoczesnym gmachu Armii zapalały się światła kawiarni, młodzi oficerowie z szerokim wąskiem schodzili się na tańce, rzeka płynęła poważnie przez kilka wieków naraz i poeta macedoński recytował „Konrada Wallenroda” po bułgarsku.

— A co się stało z macedońskimi terrorystami, którzy wywołali sensację w Europie? Wyobrażalem ich sobie jak desperatów, po trosze jak rosyjskich eserów...

Terroryści macedońscy to był ponury dowcip wymyślony dla Europy. W upośledzonym narodzie zawsze można obalamować kilkunastu ludzi. Naród nie rozumiał, o co im idzie, i w ogóle ich nie znał. Naród macedoński... Ach, prawda, pytało nas, cóż to za naród który nie ma nawet swoich barw? Jak podnieście sztandar Macedonii, kiedy go wcale nie macie? Sztandar nasz zatonął w mrokach średniowiecza, ale barwa narodu zachowała się w pieśniach ludowych, odnajdźcie ją w tym zbiorniku pieśni, który macie w ręku. Dziwnym przypadkiem nasz kolor jest czerwony, ten sam pod którym teraz zmartwychwstaliśmy.

Nazajutrz pod chorągiewką tej wskrzeszonej barwy, w auge prezydenta Macedonii pojechaliśmy nad jezioro Ochryd, słowiańska kolebka chrześcijaństwa wschodniego. Auto po zawrotnych serpentynach wzniosło się w ciągu kilku minut na jakieś 700 metrów i zaczęło przerzucać w ruchu Balkany, jak kartki mineralogii: granity, bazyalty, skały zielone, granatowe i rude, źródła siarczane rozpryskujące ostre zapach na kilometr. Balkany jesienią czekają na swojego malarza, jablonie, grusze i śliwy stoją w tych samych kolorach co u nas, ale mocniej nasyczonych, przechodzą w egzotykę, czerwieni jest pomarańczowa, różowość — prawie świetlista. Święci tych gór umieli znajdować sobie miejsca wynoszące ich ponad przyrodę. Na wprost amfiteatru wyżyn, wioski i sadów, nad strumą przebiega stol Bigorski Monastyr, gdzie średniowieczny sycerze wyżłobił w drewnianych ornamentach całą swoją wiedzę

biblijną, mity i przypowieści obu Testamentów. Najcenniejsze freski średniowiecza, jak zresztą we wszystkich klasztorach Serbii i Macedonii, kryją się za warstwami późniejszych malowideł albo za brudem stajennym, bo przez wiele bogobojnych wieków wprowadzano tam konie na nocleg.

Jechaliśmy dalej—mijały wyschłe koryta górskich potoków. Pyzate dziecko trzęsło się między jukami na mule, za dzieckiem jechała smagła kobieta kurząca cygaro z bałkańskiego liścia, mężczyźni między mulami szli pieszo: lud koczołniczy Włachów przenosił się na postój zimowy. Chłopi orali drewnianymi sochami, jak w tych czasach, kiedy szli tędy Cyryl i Metody. W mijanych wioskach czy miasteczkach stał przed domkami szczupli i pomarszczeni starcy w fezach, Skiptarzy, we włoskim brzmieniu Skiptarowie, potomkowie tych, o których pisał Horacy: Bello furiosi Traci. Pół trzecia tysiąca lat czekali na alfabet.

Ochryd, gwarne miasteczko z hotelkami dla turystów, oplata średniowieczne cerkwie na wzgórzach i ruiny feudalnego zamku. Trzeba ujechać trzydzieści kilometrów wzdłuż jeziora, aby dotrzeć do Świętego Nauma. Skończył się właśnie w tym roku nielaruszany od wieków sen ó słowiańskich apostołach, epicki spokój Ochrydu zmąciły fundamenty dwóch wielkich budowli nad brzegiem — domu Związku Zawodowego i Domu Pionierów, oraz doświadczalna stacja hydro-biologiczna. Zdaleka już świeci srebrną kopułą wysoka wieża cerkiewna, wyrzuca się i znika za grzbietami gór. Zbliżka ukazują się na wieży daty wyrzeźbione w obrzydliwym secesyjnym kształcie. Te cerkwie zbudował król Aleksander. Świecki pop, który pokazuje nam nagromadzone w nowej cerkwi przeraźliwe, złotem i srebrem w XX wieku malowane ikony, nie może ukryć zażenowania. W nowoczesnej oprawie tych murów ufundowanych z laski królewskiej spoczywa klejnot architektury romańskiej, maleńki chram świętego Nauma z X wieku. Czy widzieliście czysty diament oprawiony w blachę? Niewiadomo kto, kiedy i gdzie za rządów królewskich rozdarował i rozgrał oszczędzone przez Turków stare ikony, ocalał tylko wizerunek samego Nauma, zdumiewający linearną ekspresją, która pod ręką średniowiecznych malarzy pulsowała w sztywnym religijnym kanonie. Dostaliśmy jabłko ochrydzkie na drogę i odjechaliśmy. Jabłko ochrydzkie są bardzo soczyste, jak ponoć za czasów Nauma, ale piękna relikwia żywej niegdyś i twórczej, cywilizatorskiej religii leży w dusznych objęciach religii martwej.

W drodze powrotnej partyzant serbski opowiada mi o tym, jak w 1941 r. oddział jego przyszedł do drzemającej wsi, zmęczony i wściekły głodem. Rekwizycja żywności była surowo wzbroniona, wolno im było pożywić się tylko tym, co ludność sama dawała. Partyzant wszedł do chałupy, w której chłopka gotowała mleko na ogniu. „Nie mam czym Was pożywić”, powiedziała żegnając się z nami krzyżem. „Czy pozwolicie ogrzać się przy ogniu”? Kiedy podszedł do ognia i wyciągnął ręce, jakiś tajemniczy blysk sensacji przebiegł przez oczy kobiety. Wzduchnęła w ogień pek papierków i zaczęła osnuwać go dymem. Partyzant poczuł zapach karczidła. „Lubię ten zapach. Przypomina mi dzieciństwo. Wiele lat już nie byłem w cerkwi”. Kobieta wzmąknęła i uciekła. Nie doczekawszy się jej powrotu, partyzant wyszedł na obchód wsi. On także uciekł, ale przed pokusą gotującego się na ogniu mleka. We wszystkich chałupach partyzanci krztusili się w dymie karczidła, ludność w poplochu gromadziła się na krańcu wsi. „Jeśli nie możesz zabić tytowskiego partyzanta, okadź go, a ucieknie, albowiem jest diabłem”. Po kilku dniach postoju partyzanci opuścili wieś. Poszli z nimi wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni.

W ALPACH

Otóż i inna mała republika, Słowenia — półtora miliona ludności. Słowenia ma również swoje słynne jeziora. Alpejskie jezioro Bled ujęte w luksusową oprawę nowoczesnych hoteli i pensjonatów, willi i domków w stylu tyrolskim zachowuje urodę przeszłości dla rozrywki oczu. Wioslarze na łodziach podobnych do gondoli czekają u brzozy, aby przewieźć wycieczkowiczów na maleńką wysepkę, na której drzemie barokowy kościółek. Wysoko nad brzegiem zwisa kokieteryjnie widmo feudalizmu, które nikogo już nie straszy, zamek na skałe, z której strącano dla przykładu chłopów nie piacących myta. O tych zamierzchlych czasach opowiada nam w restauracji nadbrzeżnej, podczas wybornie skomponowanego obiadu, przy cieniku winie, autor trzydziestu powieści obyczajowych, najbardziej zawodowy literat, jakiego w życiu spotkałem, wpływający w dostatek swego pracowitego życia.

Drogi górskie—szarzy asfaltu, domy wiejskie — schludne i wygodne. W jednym z takich domów urodził się i mieszkał wielki romantyk Francet Preszeren, autor znakomitego wieńca sonetów, entuzjasta i tłumacz Mickiewicza. W pamiątkowej chaście Preszereńska wszystko zachowało się po dawnemu, ławy, łózko i stół, kolorowe szybki, urocz alpejskie prymitywy na szkle — Madonny i czerwony konik u żłobu.

Wszyscy tu znają sonety Preszereńska i balady Mickiewicza. Od lat kilkudziesięciu trzeba szukać ze świeczką analfabety ukrytego w górach. W Lublanie sekretarz zwią-

ku pisarzy pokazywał mi listę członków, kilkudziesięciu pisarzy małego kraju, w którym wydanie książki jest zwykłą kalkulacją handlową pozbawioną wszelkiego ryzyka. Każdą książkę swoją i obcą ogląda się tutaj jak dzieło sztuki graficznej, bibliofilstwo Lublany rywalizuje z estetyką wydawnictwa Zagrzebia. Łatwo się domyślić, że nawet krakowskie wydawnictwa „Czytelnika” nie zrobiły w tym mieście furory.

Lubłana ma stare teatry, sale koncertowe, solidne lokale magazynów. Stolica Słowenii leży w tym samym pasmie przeszłości habsburskiej co Zagrzeb, dziewiętnastowiecznych wspominków, walców Straussa i arli z „Lohengrina”. Kilka pustoszejących magazynów mówi nam szeptem o dogasaniu garściami burżuazji handlowej, której zdawało się, że jej wieńskie smaczki są najwyższym szczyblem kultury. Nie zauważyłem, aby ta cicha śmierć rzuciła choćby cień smutku na pogodne miasto. Wieczorem trafiam na jubileusz znakomitej śpiewaczki i natychmiast wciągnął mnie swojski, ale otwarty i przychylny obcym styl towarzyskiego życia. Młoda artystka dramatyczna pokazywała mi dołka swoich oczu jakieś zmarszczki, których nie zdołałem dostrzec, ślady głębokich przeżyć zatarte prawem regeneracji. Mówiła mi poufnie:

— Nie jestem taka młoda, jak się panu zdaje, ani tak naiwna, jak wyglądam, ale od czasu, jak byłam w partyzantce, nie wstydzę się najwycieńszych słów. Nie wstydzę się mówić o pięknie ludzkiej duszy. Czy pan nigdy takich ludzi nie spotkał?

O kilkanaście kilometrów od Lublany na cmentarzu zakładników i partyzantów wiszą nad grobami fotografie rozstrzelanych. Na krzyżach zaśnieżyła się gwiazdy, pod które powołał ich Tito. W chaście Preszereńska nie wszystko jednak pozostało po dawnemu — przybyły dwie strzelby zawieszane na ścianie przez komunistów — partyzantów, którzy składali tutaj przysięgę.

NA TRASIE ZABYTKÓW

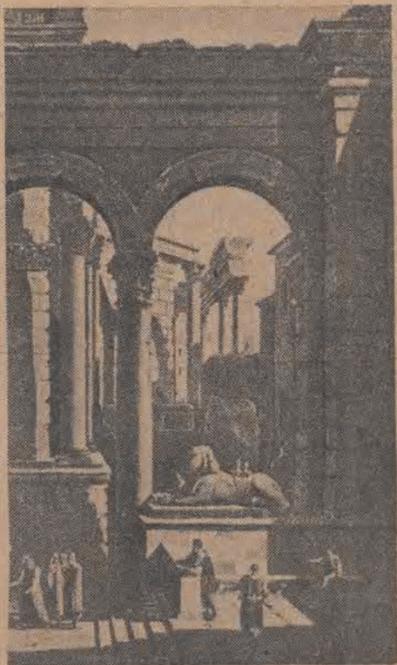
Stolica Chorwacji ma swoją bezsporną dumę historyczną. Zagrzeb to prawie Kraków... Kraków bez Wawelu. Ta sama zabytkowa uroda ulic, która bora nazwy od klasztorów i kaplic, podobna architektura austriacka z XIX wieku, lekka, przymilna, osrebrzona w.e. klem, duże gmachy skurczone do małej estetyki, odwołujące się do przeszłości, w koronach z czasów Franza-Josepha. Secesyjne wnętrza zalecają się przez wirny sklepów, gdzie ostatni zacił mieszczanie, śniący jeszcze o błogoci tamtych czasów, z dyskretnym europejskim uśmiechem biorą od klienta 30% nadwyżki za te same skórzane wyroby, które leżą całym stertami do wyboru w wielkich państwowych domach towarowych. Klasa gładząca nigdy nie grzeszy uczciwością. Co innego drobni złotnicy, właściciele mówią — srebrni, cy sprzedający w Chorwacji srebrne wyroby ko ronkowej roboty. Ci zachowali swoją godność rzemieślniczo-handlową, nowe formy gospodarcze nie grożą im degradacją. W Zagrzebiu, tak samo, jak w Lublanie, burżuazja handlowa likwiduje swoje interesy i co energiczniej- szych przedstawicieli posyła na plotki do kawiarni. Nie, do spekulacji nie przedaję... Ostrzeżenie ich kilkanaście wyroków śmierci. Wyprzedzą rodzinną biżuterię, robrony i koronki prababek... wypiją kilkadziesiąt filiżanek kawy i pójdą do pracy.

Po Belgradzie wydaje się, że Zagrzeb ma zwolnione tempo życia. Tymczasem tutaj w Chorwacji rozgrywały się największe ofensywy wojny jugosłowiańskiej i toczyła się wojna domowa. Po Zagrzebiu grasowali najmiłoścy faszyzmu ustasze, dokoła miasta we wszystkich przełęczach górskich stała uparta, nieustępliwa awangarda ludowej Chorwacji, partyzanci Tita, działała na miasto jak magnetyczna podkoba. Nawet starzy ludzie, domatorky naukowe, opowiadają mi o tym z chepliwością, w której wyczuwam chęć zrównoważenia kwitujących pozorów ludzkiej przybyśza w tym mieście srebrnych i brunatnych murów, pomników feudalnych i tablic pamiątkowych. Aż spośród cieni przeszłości, spod ospałych masywnych sklepień wysypuje się gromada młodzieży ze swoją wszędobylską piosenką. Gromada przechodzi i znika jak ostrzeżenie: nie dajcie się zwieść kwitującym pozorom — o kilka kilometrów od tego miasta urodził się Chorwat Tito.

O przynależności Chorwacji do strefy kultury adriatyckiej przypomniała nam w Zagrzebiu znakomita galeria Strossmajerowska, gdzie obok Fra Angelica i Cateny wiszą mi strzowie chorwaccy, obok włoskiego baroku — Frederico Benkovicz. Na południe od Zagrzebia, ku Adriatykowi, znika pokost monarchii habsburskiej, obnaża się wielkie rumowisko śródziemnomorskich zabytków i kultów, od dawna nęcące turystów a tak mało uwzględniane w historii sztuki europejskiej — wykopaliska w Solonie, gdzie chłopcy odgraniczają swoje drobne zagony odłamkami teatrów greckiego i rzymskiego, w Splicie czarna Madonna z IX wieku, o której nie wiadomo czy nie jest pogańską Czarną Matką, w Trogirze skarby dalmatyńskiego średniowiecza i renesansu; zdumiewające zwisatuny baroku na paskorzebach w kaplicy świętego Jana — anioły wbiegające przez uchylone drzwi z pochodniami życia, z uśmiechem tajemnicy i niespodzianki.



Ochryd. Monastyr św. Nauma



Pałac Dioklecjana w Splicie



Andrija Madulewicz (1502—1563)

Anioł (muzeum w Zagrzebiu)



Vrba pod Lublaną. Dom Franceta Preszerena



Prowizoryczna Szkoła na terenach partyzanckich

W pałacu Dioklecjana w Splicie mieszka po dawnemu kilkaset rodzin i czerwony piernat wietrzy się w oknie ściany północnej. W ciemnych, wilgotnych przejściach pałacu można po dawnemu kupić warzywa, oliwki, kasztany, ciężkie dalmatyńskie wino, które ponoć nie przesącza się przez chustkę. Turysta namydlony przez fryzjera ogląda przez szybę razury z odległości dziesięciu kroków wielkiego sfinksa, którego Dioklecjan sprowadził z Egiptu dla ozdoby świątyni Jupitera, rychło przemianowanej na kaplicę św. Anastazjusza Męczennika, gdzie po dawnemu odprawia się mszę. Na przystani mamroczą już świeżo sprowadzone palmy, jeszcze grubsze od dawnych, zbombardowanych podczas wojny. W dwa lata po wojnie prace wykopaliskowe w Solonie idą szybciej niż dawniej. Spotkaliśmy studentki archeologii kopiące z takim samym poczuciem codziennej powinności, jak chłopki kopią kartofle. „Dawniej to robiło się dla turystów, dzisiaj — dla nauki”, powiedziała nam dobrodusznie jedna z nich, ocierając szerokim ruchem pot z czoła.

Popłynęliśmy na statku adriatyckim do Dubrownika. Nasz dwutygodniowy przyjaciel z Belgradu, tłumacz poezji francuskiej, dyskretny i skromny przewodnik, wdał się z nami w refleksje historyczne o Dubrowniku i Polsce. Dwa bowiem były katolickie państwa słowiańskie, które zwycięsko opierały się Turkom. Ragusa czyli Dubrownik zachowała niepodległość przez okragle tysiąc lat od IX do XIX wieku. Nie dała się pokonać ani Wenecji, ani Turkom. Każde zwycięstwo polskie nad półksiężycem było wielkim świętem dla Dubrownika. Poemat epiki Ivana Gundulića „Osman” opiewał wojnę chocimską w dwudziestu pieśniach. Szczególna adoracja Polski może pochodzić i stąd, że Rzeczpospolita szlachecka rządzona przez magnaterię musiała odpowiadać gustom dubrownickim. Ragusa również była Rzeczpospolitą szlachecką z Dukiem na czele. Kilkuset najmitów pod cudzoziemskim komendantem strzegło niepodległości. Szlachta przynigdy nie wchodziła w związki małżeńskie nawet z bogatym kupiectwem, natomiast nie stroniła od innych związków. Stara tradycja podaje wymianę zdań między księciem a chłopką z okolicy, Konawianką. „Ciekaw jestem, ilu synów szlacheckich strzyże winnice”. „Ciekawam, ilu synów chłopkiewczi zasiada w senacie”. Dubrownik posyłał swoich synów, mniejsza już o to jak poczętych, byle

tylko legalnie powitych, na naukę do Italii, dawał miastom włoskim malarzy i rektorów uniwersytetu. Dubrowniczanie tłumaczyli na chorwacki Dantego, Petrarke, Tassa, mieli własną literaturę — maskeraty i gry pasterskie. Utuczona na handlu śródziemnomorskim Rzeczpospolita Ragusa zaczęła podupadać na równi z Wenecją po odkryciu nowej drogi do Indii. W XVIII wieku zabiły ją już ostatnia, ale zato pierwszej wielkości gwiazda Dubrownika, jezuita Roger Józef Boszkowicz, najwybitniejszy teoretyk fizyki swojego stulecia, jeden z ojców nowoczesnej fizyki, atomista, którego matematyczna koncepcja materii przedziwnie gra z dzisiejszymi pojęciami w tej dziedzinie. Potem już Dubrownik niczym nie przypominał się Europie. Kiedy zjawił się Napoleon, aby wybudować nad Dubrownikiem swój zwycięjski zamek, zastał ubogie stęchłe miasteczko ze zdziwczalą, wygasającą arystokracją. Odtąd Dubrownik żył już tylko z

laski turystów. W rozmaitych krajach Europy najpiękniejsze powieści mieszczańskie dla podrastających panienek kończyły się słowami: „I pojechali w podróż poślubną do Raguzy”. Minęły podróże poślubne, zaczęły się urlopy pracownicze. Dubrownik nie stracił racji bytu. Czterdzieści tysięcy ludzi spędziło tu urlop tego lata. Przyjechaliśmy późną jesienią i ujrzeliśmy Dubrownik bez turystów, obnażony w swoim cichym, maleńkim bycie.

Miasteczko — to chyba przesada. Świetne nowoczesne hotele stoją na przedłużeniu Dubrownika wzdłuż skalistego wybrzeża. Za nimi, z drugiej strony szosy ciągnie się na kilometr mur strzelniczy, po murze pełzną natrętne liście palmowe, kaktusy, bzy południowe i bezwstydnie różowe kwiaty. Miasteczko — to rzeczywiście przesada. Stary Dubrownik ze swoją historyczną świetnością to poprostu jedna uliczka Stradun, korytarzyk między górami a morzem, obwarowany cyklopicznymi

murami. Przedgródzie jest odrobinę szersze, tak, że stać je na tor tramwajowy, ale tor jak w lunaparku. Wagonik tramwajowy łąduje obok karnieli, która kręci się pod wysoką skałą koło sklepienia bramy Stradunowej. Renesans tej ulicy wygląda jak dekoracja do Szekspira, gotyk — jak fantazja Amadeusza Hoffmana. Na niskim cokole stoi naturalnej wielkości kamienny książe z zielonym mieczem. Równa nawierzchnia bez podziału na jezdnię i trotuar wznaga to potępięcze wrażenie teatralności. Za murami Straduna weszliśmy w labirynt klasztorów, w puste cieniście krużganki. Na prostokątnych dziedzińcach rumieniły się pomarańcze. Na tryptykach z początków XVI wieku kobiety z głową przechyloną pod łukiem obramowania tęskniły do renesansowej duszy, która za chwilę ma wstąpić w ich twarze. Wróciliśmy na Stradun. Tuż koło kamiennego księcia dziewczyna ze wsi okolicznej Konawianka w swoim historycznym stroju, w czarnej sukni wydłużającej postać z tą właśnie gracją, za którą daremnie gonili prerafaelici, oszołomiła nas tą samą urodą, co na tryptyku, i tak samo przechyliła głowę, pytając o towary, po które przyszła do miasta. Opodała stała druga. Ukryła przed nami twarz owrzodzoną i zniknęła w ciemnej sieni klasztornej apteki, gdzie zażywny kapucyn sprzedawał medykamenty. Zajrzałem do prospektu: Dubrownik ma najstarsze apteki w Europie, założone w XIII wieku. W pobliskiej sieni wyjrzał z półmroku portret wielkiego Boszkowicza. Ten, który chciał przetransformować przestrzeń i materię na geometryczne linie sił, patrzył obojętnie na teatralne mury Straduna. Obróciłem się na pięcie i spostrzegłem, że cały Stradun jest oblepiony plakacikami Frontu: „Naucz swoją starą matkę czytać”. Wymiary plakacików były przystosowane do proporcji Dubrownika. Wielowiekowa kultura elitarna, nawet w mikroskopijnym zakresie, nawet w aptekarskiej dawce nie przestaje być kulturą elity, dopóki Front nie zawoła: „Naucz swoją starą matkę czytać”. Plakaciki wyglądały jak plasty na schorznię tysiącletnich murów, albo jak pręgi po biczowaniu. Biegły poza bramę mostową, wyskakiwały jak bezwstydną i natrętne kwiaty w rozpadlinach murów, wołały za prerafaelicką Konawianką: „Naucz swoją starą matkę czytać”. Kto wie, czy ona je rozumie, czy oprócz arystokratycznej sztuki noszenia stroju znała i sztukę czytania.



Artyści - malarze przy budowie kolei

Wioskie przystawie „Vide Neapoli e Mori” wbrew rozpowszechnionej interpretacji oznacza — zobaczyć Neapoli a potem miasteczko Mori. O Dubrowniku dość jest powiedzieć: „Zobaczyć Raguzę”. Blaski i cienie wieków zawarły się w tym jednym mieście, które jest równocześnie cudem i dziwołgiem, enem i fantomem, fantazją, żartem, satyrą i głębszym znaczeniem.

#### CZARNA ZASŁONA

Sytuację półkolonialną można ośmiać pozorami samodzielnosci. Trzeba było wejść w ekonomikę, aby przekonać się, że przedwojenna Jugosławia była półkolonią kapitału europejskiego. Stosunków kolonialnych nie można ukryć, zbyt silnie ciążyła na wtórnych objawach. W koloniach humanistyczne pojęcia europejskie obracają się w jawne szyderstwo. Katolicy Habsburgowie i ortodoksyjni Karađorđewicze jednakowo szanowali miejscowe obycajze Bośni—Hercegowiny — szanowali czarną ferendę i nie pozwalali zakładać szkół wiejskich. Do dobrego tonu władców kolonialnych należało gromadzenie wykopalisk miejscowych na pokaz dla gości. Muzeum w Sarajewie ma niezwykle ciekawy i urozmaicony dział archeologii. Zapamiętałem kilka osobliwości. Rzymacy bogowie na wygnaniu, na dwóch tablicach Mitra we frygijskiej czapce rozdzielający byka, piskorzęby stylizowane i uwaszczony, glagolica na tym samym kamieniu, co prehistoryczny jelen z ogonem wydłużonym do słonecznego znaku, kamienne nagrobki bogomilców, wschodnich prekursorów reformacji. Na ziemiach Bośni i Hercegowiny wielokrotnie szaleli bogowie, zanim w naszym stuleciu ulica Sarajewa dała sygnał do imperialistycznego szachu pierwszej wojny światowej. Kultury i kultury zbiegały się tutaj, gmatwały się i zapadały w mrok niewolniczego bytu ludności. Na koniec zeszyli się kościoły, cerkwie i meczety. Turcy Kadı odprawiali sądy w towarzystwie trzech asesorów, popa, księdza i rabina. Po odejściu władz tureckich przewaga Koranu przetrwała wśród tubylczej ludności słowiańskiej. Starcy biją pokłony pod murami meczetu, na ulicach Sarajewa przeważają kobiety w czarnych ferendach. Do czarnej ferendy obowiązują specjalny strój, coś w rodzaju zielonkawej chlamidy starannie maskującej kształty. W Bośni

nie rosną palmy, tylko kłony i soany, domy w Sarajewie buduje się z tej samej cegły co u nas i na modłę europejską. Muzulmanki na ulicach Sarajewa widać jak zabiłkane podmorskie stwory. Za tą czarną ferendą kryje się tajemnica banalna i ponura — kobieta zmieniona w zwierzętko do wszelkich usług domowych i gospodarczych.

Do czasu wojny w tym kraju na 100 mieszkańców 3 albo 7 umiało czytać. Wojna partyzancka była tu nie tylko szkołą dzielności, charakteru, dojrzenia politycznego. Była poprostu szkołą. Wielomiesięczny postój partyzantów likwidował niepiśmienność w okolicy. Szkolnictwo i walka z ferendą urastają w tej nowej republice do najważniejszych zagadnień państwowych. Jak na złość czy na pośmiewisko zakorzeniły się równocześnie dwa alfabety. W wydawnictwie państwowym w Sarajewie sięgaliśmy po dziennik ustaw; dwa alfabety szły na przemian. Ogłędaliśmy beletrystykę, poezję, studia naukowe. Wybór alfabetu zależy od woli autora, od rękopisu. I otóż z tego kraju, na który rzucano czarną zasłonę, wyszło wielu cenionych pisarzy serbskich i chorwackich. Z Bośni pochodzi też Ivo Andrić, powieściopisarz najbardziej znany poza granicami Jugosławii. Ivo Andrić przyjechał tego dnia z Belgradu. Zebrali się pisarze wszystkich sześciu republik. Było to w przeddzień otwarcia nowej kolei młodzieżowej Szamac—Sarajewo. Miasto było nasycone siedemdziesięcioma tysiącami gości. Wieczorem siedzieliśmy w gronie pisarzy w pokoju bibliotecznym przy nastrojonej lampie. Rozmawialiśmy o sprawach europejskich. Tu, w tym zacisznym pokoju, wszystko wyglądało tak, jak mogłoby wyglądać w każdym mieście Europy. Potem zapadła cisza, norwidowskie przemilenie. W tym pokoju był najlepszy punkt obserwacyjny na sprawy europejskie, na cyniczny podział dóbr cywilizacyjnych. Z tego przemilczanego kraju, jak z okienka na strychu, można było ogarnąć szeroki i jasnym spojrzem nieludzka prawdę imperializmu.

Wyszliśmy późnym wieczorem. Odprowadzała nas profesorka uniwersytetu sarajewskiego, literaci z Belgradu i Zagrzebia, delegaci młodzieżowej prasy z Lublany. Noc była ciemna. Nie pamiętam, kto pierwszy pomyślał o czarnej zasłonie.

— Dekret — powiedział któryś z nas.

— Na dekret mogła sobie pozwolić Albania — odpowiedział pisarz bośniacki. — Tam inahometantizm jest religią powszechną. Nie możemy narażać się na zarzut prześladowania mniejszości religijnej. Czekamy, aż świadomość sama dojrzeje. Nie idzie o gest zrzucaenia zasłony, ale o wejście w świat ludzki.

Przypomniałem sobie Madonny, które widziałem w Splicie — z XI i XIII wieku. Trzeba było dwóch stuleci, aby skłonić głowę bizantyjskiej Madonny do głowy Dzieciątka, aby shumanizować jej gest.

— Na każdym zebraniu związku zawodowego kilka kobiet zrzuca ferendę — powiedziała profesorka. — To wzbiera, wzbiera, aż ruszy lawina...

Minęliśmy zwykłą czyszową kamienicę z pamiątkową tabliczką, którą czytaliśmy za dnia: „W tym miejscu w roku 1914...”. Ten wystrzał, który rozległ się w mrokach przemilczanego kraju, rozszedł bezcenne prochu, ale nie rozdarł czarnej zasłony.

— Jak wam się zdaje — zapytał chłopak z Lublany — czy pociąg już jedzie?

Pociąg już jechał. Z odległości 238 km lokomotywa z Szamacą przedzierała się do Sarajewa przez czarną zasłonę nocy. Chłopak z Lublany myślał o maszyniście bez rozmarzenia, bez patetycznej liryki — poprostu z żądzości.

#### MŁODZIEŻ

25 dni w Jugosławii, to za mało, aby dotrzeć do wszystkich pulsów życia, ale dość, aby odczuć troski i żywość tego kraju. 25 dni podróży w przestępni i czasie. Ocieraliśmy się o środkowo-europejski styl życia i prymitywną egzotykę. Wchodziliśmy w słowiańskie średniowiecze, w mrok tureckiego panowania. Zachwycaliśmy się dalmatyńskim renesansem, widzieliśmy stygnące ślady młodszej kultury z czasów habsburskich, alabastrów lampy patrycjusz z rzymskich i groby partyzantów Tita w wężkach świętych kwiatów polnych. Gdziekolwiek byliśmy, w jakimkolwiek stuleciu, wszędzie ktoś przywoływał nas na powierzone dni dzisiejszego, ktoś wszędzie obecny i niezaważnie pełnoletni, ale już zdolny do pracy i świadomego działania, chłopiec rozpierający afiszę Frontu, studentka arche-

ologii, młodzież w roboczych ubraniach włożonych na siebie dobrowolnie. Widzieliśmy tę młodzież pojedynczo i w grupach na wielkich murkach Chorwacji, jak wychylała się w przyszłość. W Serbii tańczyli „kolo” na ulicach. W wielkiej sali koncertowej w Sio-weni gromadzili się, aby posłuchać chóralnych śpiewów ludowych. Widzieliśmy ich w bry-gadach ochotniczej pracy: zeszli się z sześciu republik budować pod Belgradem pierwszą fabrykę maszyn. Pracowali ciężko, wznosili żelazne konstrukcje na terenie, gdzie na trzy miesiące przedtem była tylko pustka łąka i nędza. W salce projekcyjnej widzieliśmy na ekranie jak drążyli dynamitem tunele. Film upamiętnił ich pracę przy budowie pierwszej kolei młodzieżowej w 1946 r. Widzieliśmy ich na placu w Sarajewie, w liczbie czterdziestu-kilku tysięcy po zakończeniu drugiej kolei młodzieżowej. Kiedy pierwszy pociąg pu-szczony na tej trasie, polyskujący wesoło, pogwizdujący zdaleka, przybił do mety punktualnie o godzinie 9 z rana, Tito prze-mówił do młodzieży. Przekazywał jej surową prawdę o wielowiekowej nędzy kraju, o tym, że trzeba zbudować przemysł gołymi rękami. Słuchali uważnie i w tym skupieniu nie było nic z hipnotycznego transu. Mówił do nich człowiek, który przez 4 lata dzielił powszedni los partyzanta. Porozumienie, które łączyło ich z mową, opierało się na wspólnym stosunku do życia, na tej podstawie duchowej, którą nazywamy optymizmem ludowym, a którego nie potrafił pojąć umysł młodziński. Tito powiedział im, że w kafanach (kawiarniach) siedzą jeszcze ludzie, którzy uważają, że ustrój amerykański jest najlepszy na świecie, i plac zatrząsają od śmiechu. Tak chyba śmiało się w czasach homeryckich. W tym pruwio, gdzie oprócz młodzieży było jeszcze kilkadziesiąt delegatów związków z wodowych, widzieliśmy trzy czarne plamy, trzy kobiece twarze w ferendach. Nikt nie szedł i nie patrzył na nie z ukosa. Wszyscy wiedzieli, że jeśli nie tego dnia, to następne-go tygodnia te kobiety zrzuca czarną firankę przeskadzając im śmiać się swobodnie.

Jugosławia postawiła na młodzieży i młodość. Ruch „Omladiny Titowej” zmienia entuzjazm młodzieży na realne wartości gospodarki narodowej. Ta przekładnia opłaca się samej młodzieży. Brygady pracy ochotniczej, odcierając się o siebie, spoprzegając, że więcej je łączy niż dzieli, troska o los swojej republiki przerasta w troskę o los Federacji. Dwumiesięczna praca ochotnicza daje lepsze wskazówki, niż instytut psychotechniczny, wylaniają się kadry przyszłych mechaników, górników, organizatorów pracy. Plan pięcioletni przewiduje przekształcenie gospodarcze kraju. Arytmetyka poucza, że za pięć lat dzisiejsza młodzież zajmie kluczowe pozycje w nowej gospodarce.

Wieczorem tego dnia brygada śpiewając ciągnęła o dworzec, gdzie czekały na nie pociągi. Usłyszałem nową zwrotkę zakończoną słowami: Szamac — Sarajewo. Brygady oddalały się w noc, opuszczały Sarajewo, ale miasto czarnej ferendy miało już tkanki przepalone promieniotwórczym ciałem rewolucji.

#### NA MARGINESIE

Zbliżenie kulturalne i wzajemna wymiana jest sprawą czynników państwowych i działalności wydawniczej. Byłoby jednak niedogodnością, gdybyśmy nie wspomnieli o niej pokrótce. W Belgradzie na wystawach księgarskich widzieliśmy świeżo wydane „Popioły” Żeromskiego po serbsku. Chorwacja zna wszystkich klasyków polskich. „Lalka” Prusa jest jedną z najpopularniejszych książek w Sio-weni. O popularności Mickiewicza wspominałem już poprzednio. Bosnak Ivo Andrić, wychowanek uniwersytetu krakowskiego; odszukiwał na dniem pamięci „Mój testament” Słowackiego i Żegnał nas słowami „Warszawianki”. Radzono się nas w Belgradzie, jakich klasyków polskich dać do czytańek serbskich. W Lublinie słyszeliśmy skargi, że od pół roku stracono z oczu ruch wydawniczy w Polsce, że nasze czasopisma literackie nie dochodzą regularnie. Funkcjonariusze ambasady polskiej w Belgradzie wykazali nam czarno na białym, że to nie ich wina, że wiodącnie jakieś śrubki w kraju się zacinają. W Zagrzebiu z tego samego powodu posypał się nam na głowy grad wyrzutów, tym dotkliwszy, że mówiono do nas po polsku. W Towarzystwie przyjaźni chorwacko-polskiej nie mogłem się zorientować, która z pań jest Polką, a która Chorwatka. Profesor Benesicz był bardzo zdenerwowany, że nie otrzymamy nowości wydawniczych. Wyglądał jak człowiek pozbawiony chleba codziennego. Chciał przynajmniej pocieszyć się sporem o poszczególne opinie literackie „Odrodzenia” czy „Kuznicy”. Sprawiliśmy mu zawód, nie dotrzymując placu. Nie udało się ukryć, że nie traktujemy tak poważnie jak on wszystkich, co pisze się w naszych pismach literackich. Otrzymałmy od profesora na pamiątkę nieliczne obalące egzemplarze jego dzieła polskiego: „Gramatyka języka chorwackiego czyli serbskiego”. Za tym skromnym tytułem kryje się obok gramatyki słownik i wypisy z literatury. Trud całego życia profesora z Zagrzebia, jego asyistentów i uczniów, u nas był traktowany w wąskim zakresie slawistyki na szczeblu uniwersyteckim. Pod redakcją Benesicza wyszło przed wojną po polsku 11 tomów biblioteki jugosłowiańskiej, ale czytał je tylko ten, kto się szczególnie interesował Jugosławią. Dziś interesują się tym krajem wszyscy ludzie postępu. Dlatego też myśle, że wymiana kulturalna, jeśli ma dotrzeć do szerszej bazy odbiorców, nie może się ograniczać jak dawniej do inicjatywnej jednostek, że musi mieć planowy charakter wydawniczy.

#### SEWERYN POLLAK

## „NOWE SPOJRZENIE” NA PUSZKINA I LERMONTOWA

Łódzkie Wydawnictwo „Poligrafika” zainicjowało bardzo pożyteczny w zasadzie cykl przekładów poetyckich pod nazwą „Na Słowiańskim Parnasiu”. Jako pierwsze tomiki ukazały się niedawno „Fontanna Bachczyseraju” i drobne utwory Puszkina oraz „Demon” Lermontowa — obie książki w przekładzie Kazimierza Chylińskiego. Niestety, utwory, które mogłyby i powinny być wędrować do szkół, co zapewne było zamierzeniem wydawców, zostały przetłumaczone w sposób fatalny i poprzędzone jeszcze bardziej okropnymi, nieudolnie napisanymi przez tłumacza przedmowami. Zanim — żeby nie być posądzonym o zawziętość zawodową — udowodnię to na przykładach, pragnę zwrócić uwagę na inne jeszcze zjawisko, bardzo niebezpieczne w naszych warunkach niezmiernie nieograniczonej swobody wydawania każdej tandety.

Nie będę tu wspominał o tym, że „Demon” tłumaczony był przed wojną wielokrotnie — wydawnictwa przedwojenne są w tej chwili nieosiągalne, a dobrego przekładu „Demona” do tej pory nie mieliśmy, może będzie, gdy Morskiemu uda się wreszcie wydać swój przekład, od dawna leżący w szufladzie pełnej spóldzielni wydawniczej. (Nawiasem mówiąc omawiany obecnie przekład Chylińskiego jest przedrukiem — po raz pierwszy ukazał się on zdaje się w 1937 roku). Ważniejsze jest to, że tłumacz, — oczywiście powołany szlachetnym współzawodnictwem — drukując przekłady utworów już przetłumaczonych i to niejednokrotnie przetłumaczonych znaczenie lepiej. Szlachetne współzawodnictwo niepościągane zmysłem krytycznym prowadzi w ten sposób do pracy całkowicie bezpłodnej, a często w sensie oddziaływania społecznego szkodliwej. Tłumaczenie powolne utworu poetyckiego usprawiedliwione jest jedynie w dwóch wypadkach: jeśli dawny przekład jest już przestarzały, lub też — jeśli potrafi się dać przekład lepszy od poprzedniego.

To ostatnie nie grozi na pewno p. Chylińskiemu, który po Juwimie porwał się na lirykę puszkiniowską, tłumacząc znane nam dobrze z „Lutni” „Pismo na Sybir”. „Wieczór zimowy”, czy „Bieda”, który po Jastrunie porwał się na „Stance”, nazywając je nie wiadomo dlaczego z rosyjska „Stansy”.

Zobaczmy, jak wygląda szlachetne współzawodnictwo p. Chylińskiego z Juwimem i z Jastrunem. Drugą strofę i trzecią „Pisma na Sybir” Juwim tłumaczy tak: „Nadzieja, siostra nieszczęśliwych. Rozproszony kiedyś mroczny cień i wzbudził rzeźką radość w żywych. Nadejdzie upragniony dzień — Miłość światło i przyjaźń. Dojdzie was przez ponurą noc. Jak do katorżnej waszej kazi Mój wolny dziś dochodzi ątos”. P. Chyliński poprawia Juwima, gdyż chyba dlatego jedynie drukuje przekład tego samego wiersza: „Radosny szal obudzi w was Nadzieja wierna siostra biedy, i w ciemnych waszych lechach wtedy Nastanie inny — lepszy czas. Miłość z przyjaźnią znajdzie most. By dotrzeć do was przez zatwory. Jak do katorżnej waszej nory. Dochodzi mój swobodny głos”.

P. Chyliński zdradza wybitnie epikurejskie usposobienie, gdy zmienia rzeźką radość na radosny szal, ale o jakim moście nad jakimiż dziwnymi, rymującymi się z katorżną nora zatwory, mówi utalentowany tłumacz — dalsze nie wiem.

Sliczenie poprawia Chyliński Puszkina i Juwima jednocześnie w tłumaczeniu „Wieczoru zimowego”. Po przepisaniu prawie dosłownie z twórcy przekładu pierwszej strofy, zlekka ją tylko banalizując zamiast „To ze strzechy nam słomianej Wyrwie z szumem kępcz mchów”, Chyliński pisze „To na daszku słomę neką, jakby jej nie miała dość”. A gdy powiada, że stara nasza chalupekka ma na sobie smutku znak — to chyba na na myśli szyl z smutkiem na nim wymalowanym. Czy mamy już dość tej słomy? Nie? Zaba-wone? Jedźmy dalej!

O dziwnych rzeczach, dotyczących prywatnego życia Puszkina dowiadujemy się z tłumaczenia wiersza „Czy bliździe po ulicach szumnych”. Rosyjskie „mładońiec” nie oznacza bynajmniej młodzieńca czy chłopaczyny, jak to sobie dowcipnie i złośliwie w stosunku do Puszkina wykonczył p. Chyliński, lecz wzrost przeciętny — oznacza niemowlę. I dlatego istnieje stosunkowo poważna różnica pomiędzy wyrażeniem „A myśl, niemiłowle bieszczac mile...” (przekład Jastruna) a obecny w osiadczeniu „Gdy bieszczac czasem chłopaczynę” — przekład Chylińskiego. Je, wstyd takie rzec — imputować Puszkiniowi że tłumacz to zdradca — widzieliśmy od dawna, ale tłumacz — imputant?...

Wszystkie te dowcipy opowiada tłumacz śliczną polsko-rosyjską gwara, zaczerpniętą zapewne z języka starso - cerkiewno - słowiańskiego, bardzo skutecznie upodabniająca oba języki. „Lecz nie-daleka stąd dolina pochłonie trup stępnący mój”, „Każde (dziecko) krzyczy na swój ład” itd. Nie nie miałym osobiście przeciw temu, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego trup pochłonie dolina, a nie dolinę, bo chyba tę myśl chciał wyrazić p. Chyliński.

Aby sprawiedliwości stało się zadość, muszę zaznaczyć, że przekład „Demona” Lermontowa wypadł znacznie lepiej od tłumaczeń Puszkina, choć i tu nie brak niezręczności i choć p. Chyliński nie skorzystał z poprawki Franciszka Siedleckiego, który już kiedyś przed wojną wyjaśniał, że rosyjskie „rainy” to nie są ruiny, lecz topole. — (Obawiam się podać łacińską nazwę: populus, by jakiś inny „tłumacz” Lermontowa nie przelożył skołej; naród czy lud). Pewne braki znajomości anatomii: „Dziwiczka pościel pali łona” Janyary — (ileż to łona miała nieszczęsna księżniczka?). o-kupuje starannie rymowanie i płynny tok wiersza.

Alle przedjdźmy do przedmów — znajdziemy tam liczne perełki stylu i najnowszym, w przystępnej formie podane wyniki unikatowych badań z dziedziny puszkini- i lermontowologii. Po wyjaśnieniu w przedmowie do „Demona”, że Puszkini i Lermontow są w mniejszym lub większym stopniu odpo-wiednikami naszych wieszczów, Mickiewicza i Słowackiego”, stwierdza przedmówca, że „słońce

Puszkina jest jaśniejsze o tyle, że Puszkini zrodził się sam, Lermontow natomiast mógł się zrodzić dzięki temu, że już istniał Puszkini”. Ponieważ dowiedzieliśmy się, już uprzednio o dość niezwykłym usposobieniu Puszkina, nic nas nie dziwi, uważamy, że i to jest możliwe. Pomijam zupełnie obliczenia matematyczne, z których wynika niezbicie, że słowa Lermontowa tylko dlatego „nie prześcignęła” sławy Puszkina, ponieważ twórca „Demona” żył o jedenaście lat za krótko, i przecho-dząc do innego wiekopomnego odkrycia. Okazuje się, że Lermontow „niektórym wierszom nadawł nawet te same tytuły co Puszkini, Pomnik, Prorok, Poeta i szereg wierszy zatytułowanych „Stansy”, czyli strofy, zwrotki — dodaje w naułbie przedmówca, udowalniają tym niezłomie brak oryginalności Lermontowa i jego zależność od wielkiego poprzednika.

Przedmowa do „Fontanny Bachczyseraju” również obfituje w głębokie myśli i świetne odkrycia. Z niezwykłą wprost intuicją twierdzi p. Chyliński, że w epigramacie na Sturdzę „kropki w pierwszym wierszu mają oznaczać prawdopodobnie” (Cholop) caria i substatał „Substatał rymuje się z rosyjskim Gierostrata. Kropki w wierszu ostatnim oznaczają niewątpliwie rozpowszechnione rosyjskie wymyślenie”. Zadziwiająca jest ta skromność komentatora, który posługując się starym, wykropkowanym przez carską cenzurę wydaniem, pisze „prawdopodobnie”. Otóż nie. Kropki w pierwszym wierszu oznaczają „cholop wieńczącego soldata”, a co się tyczy „rozpowszechnionego rosyjskiego wymyślenia”, to w tym wypadku intuicja komentatora nie zawiodła.

Jeszcze jeden cytat z wiekopomnej rozprawy o Puszkini:

„Ożenił się niefortunnie z kobietą wprowadzając ją, lecz więcej myśląc o przyjemnościach i zabawach, niż o tym, że zadaniem jej społecznym, skoro los uczynił ją żoną człowieka genialnego, stało się ułatwienie i umiłanie człowiekowi temu brzo w jego swoistej służbie ołbrzymiemu narodowi rosyjskiemu. Kłopoty majątkowe zabierały mu dużo energii i czasu, a ciągłe borykanie się z reżymem i szukanie no końcu jakiegoś możliwego z nim współżycia, że wpywało na spokój nerwów i pogodę ducha”.

Życząc tłumaczowi również spokoju nerwów i pogody ducha w jego swoistej służbie literaturze, zwracam się z uprzejmą, lecz stanowczą prośbą do wszystkich, a zwłaszcza prywatnych wydawców, by zechcieli wreszcie zaangażować jako doradców literackich pisarzy z prawdziwego zdarzenia, członków rzeczywistych ZZLP, co jedynie daje pewną gwarancję, że tego rodzaju tłumaczenia, jak omówione powyżej, robione tylko po to, ażeby móc się wybić — nigdy pod żadnym warunkiem nie ukazują się w druku. Niechże wydawcy jak najprędzej i wreszcie zrozumieją, że bę-dzie to dla ich własnego dobra i niech nie narażają na szwank naszego spokoju nerwów i pogodę ducha.

Seweryn Pollak

Adam Ważyk

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## KRYM

W nisidej, jak korny ukłon, lepiance, daleko  
Od ojczyzny czekałeś z poezją na czole  
Aż świt — Tatar — rozpocznie łać kobyłe mleko  
Na zsmukłone w krajobraz strzeliste topole.

Kraina była obca, szorstka, choć zielona.  
Witają cię w tatarskiej barbarzyńskiej dali  
Fale morskie — tułacznych szlaków gorycz słona,  
Góry — Prometeusze z bólu skamieniały.

Ale twoje samotne, zeszlowieczne kroki,  
Które w górach, w dolinach i nad morzem brzmiały,  
Zbliżyły ku nam obce dalekie uroki  
Krainy, jej obłoki i drzewa i skały.

Nam Czatyrdach pięknieje, nam Bakczysaraju  
Świecą gwiazdy, nas przestrzeń ani czas nie dzieli.  
Jak wieczny śnieg na górach w tym dalekim kraju,  
W sonetach twych, wędrowcze, wieczny śpiew się bieli.

## KATEDRA W OLIWIE

Po stopniach światła, cały w gloriach złotych,  
Płacząc swe mroki, stropy i witraże,  
W jesienne niebo idzie ostry gotyk.  
Madonny mają gdańskich mieszczek twarze.

Dawni żeglarze, słonym wiatrem gnani  
W bałtyckie dale, w bulgot piany srebrny,  
Odpoczywają tutaj, pochowani,  
Jak na dnie morza, na dnie tej katedry.

Powietrze, pełne zamierzchłej wilgoci,  
Tu pod brzemieniem czasu się ugina,  
Jak zwiędłe liście oltarz się zazłocił  
I na grobowcach smuci się lalina.

Nadmorska jesień nad katedrą płynie,  
Jak złotym żaglem szumiący żaglowiec.  
Lka staropolski język przy lacinie,  
Zdobając żalobnym ygrekiem grobowiec.

Tutaj, w strzeliste milczenie wsluchany,  
Słyszysz jak przeszłość dźwiękiem przemówiła:  
Mleczą, jak potok zamarły, organy,  
Muzyczna cisza gniazdo w nich uwiła.

A gdy wychodzisz na powietrze świeże,  
Zegnając ślepe katedralne mroki,  
Patrzysz na mewę, co o smukłą wieżę  
Zawadza skrzydłem, jak o maszt wysoki.

STANISŁAW PIĘTAK

## GETTO

O niebo, niebo zwiastujące światło i śmierć!  
Pędzący zachód uciął drzewom nagie głowy,  
zapalił ślepią zwierzętom i zjeżył im sierść.  
Patrzcie, wy, co żyjecie, na bagniste rowy.  
Tam przy kamieniu, przy szkieleku śliskiej kałuży  
jak dobijane zwierzę, skomląc w blask gąsńle człek  
obok człeka, kobieta, dziecko, starzec. W burzy  
krzyków, w wyciu szaulisów ścieka w słońcu krew.

Naprzód! Naprzód! Kolbami, śmiechem biją hordy  
najemnych w średniowieczny, w skrach ślanający się tłum.  
Kudlate głowy, na plecach, na brzuchach torby  
pamiętek, złota, ksiąg. Jakiż pędzi czarny szum!  
I ten rabin nie przeklina, nie żebrze Boga  
swego. I on chytrze myśli, że brylantów blask  
wykupi go od zgonu. Schodzi w łunie trwoga  
jego. U zabójców dostęp weszając szuka łask...

Naprzód! Naprzód! I znowu niebo przeciął jazgot kul.  
W pośpiechu posłusznie zerwała się gromada  
do biegu. I tylko ciało kilka runęło w rów.  
na ślad krwi zabitych poprzednio... Biada! Biada!

Mały chłopce, tyś powinien nad książeczką śnić.  
Piękna panno, o do serca nie garnij brata,  
nie wydrzesz go śmierci, jak roisz, ofiarą krwi  
swojej. Nie zdrzyj od piękna twego twarz kata...

Jakże w czarne stada koni przerażonych krew  
na niebie gna. Nie ma buntu, szcęk nie brzmi broni,  
by mordercom zadać nagłą śmierć! O, gniew, o, gniew  
niech oczy, niech myśli moje i w śnie zasłoni...

Tak, oficer, który tu rządzi, do Goethego  
wieczorem zasładzie, szaulisj rykną pieśń  
o domu swoim i skórę z dziecka małego  
ściągną jak z psa. Hańba człeczka, jak nieść cię, jak nieść!...

ANDRZEJ BRAUN

## ILIADA

Sen odpywa wśród zgiełku marynarzy z Chios  
oni z kart starożytnych ksiązek wybiegli, lecz żyją  
nad morzem z kalafoni, które jest na mapie.  
Miłość chłopięcych westchnień kruchy wehłonał papier.  
Najtwardsze lata męskie uca chronologii —  
tanci mogli wyblaknąć, lecz zdradzić nie mogli  
Grecy, co pogabili młona Achajów  
górale, którzy jeszcze dwudziestu lat nie mają  
ślusarzy, nie mniej żywi niż stare odbitki  
partyzanci, deszczami przemoczeni do nitki  
strzelcy z automatami, wiszącymi u kolan,  
grzejący chude dłonie od płonących polan.  
Macedonia! Lśni lakier strumienia w dolinach  
lzy spływają po strunach. Skomla mandolina.  
Tutaj każda dziewczyna podobna jest Palladzie  
gdy helm na wężel czarnych włosów kładzie.  
Herosi nie zwrócili pierś swych ku tyłom  
w złotych murach Ilionu szczerbią pierwszy wyłom.  
Nieraz plakałem z wami w pokoju dla dzieci  
dziś widzę: tacy sami pomimo stuleci  
Uca nas moralności niedbały pasterze —  
struny formingi sztucznie brzęczą i nieszczerze  
W tłumie ud mahoniowych i koziego potu

próżno szukam białej chleny twojego namiotu,  
Achillu, w słonecznym kasku i włosach z tytoniu  
wpisany w kręgi wazy antyczną harmonią.  
Nie ma was, Atrydowie, przemawiającej najwspanialej  
i błękitna Helena żulka coraz dalej —  
przez dziesięć lat walczone o jej rzesy pawie.  
Kocham was, jak kochałem już na szkolnej ławie,  
lecz dziś Grecy są starsi o dzieje ludzkości  
koń drewniany zwyczajstwa Greków nie uprości,  
gdzie indziej biegł bastion niepodobnej Troi  
o więcej walczą teraz, niżli Grecy twoi  
Homerze, którzy sam był owocem wyobraźni —  
pogodzeni bogowie są bardziej odważni  
Dziś ciała bohatera wróg starcom nie wyda  
w jednym szeregu walczą Hektor i Pelida.

Noc świeci ręcą. Zboczą czarnej laki  
szumią. Żaglowiec wraca do Itaki.  
W martwych dolinach szeszcza kaskady  
o wnętrzach grozy. Ludzie nie uszli zagłady.  
Ciemnieją zwłoki, porabane sprzęty  
krew nocą czarna jest, a dzień przekłęty.  
Autą w pustkowiach leca jak komety  
na szybach trwożne wykwiłają gwiazdy  
mosty żelazne rwą się niby wstążki  
trzaskają zamki otwierane w biegu  
u karabinów, gdy zmieniasz magazyn  
oliwkę skwierczą w rudyh zębach żaru  
dobry spawacz mówił jest plastic  
lecz płuca wyżre ci chloropikryna  
placki w oliwie najłodsze bakalie  
brzuchy zapadłe, wyschnięte gołonie  
głód, głód, oto głód o twarzy z prochu —  
tam owrzodzeni starcy żrą trawę i porost.  
Dziewczeta mają migdałowe oczy  
i serca gorzkie jak wschodnie migdały.

Jazgotliwe stragany czy porty dymiące od syren  
statki otyłe, osli szloch, jak muezyna  
doki, trymerzy, wybuch, robotnicza zdrada  
wśród żandarmów szpaleru każdy ręce na kark składa.  
Zabarykadowane okna lub zamknięte bramy  
biją litery gazet greckim alfabetem  
którego używał już mędrzec z Megary  
wszystkie od alfy do omegi kłamią.  
Ateny, plac Churchila. Tutaj gloszą wiarę  
tankietki. Niby rzeźby tłum pokotem leży.  
Krew jest czerwona, modry dym, a mosiadz złoty  
kawowe twarze, włosy, śniegi, szmaty, cłow  
czółg szczerbaty ma zęza, pluje, węszy połów  
smućą się w sokach słońca odcinane druty  
Komunizm — komunizm — komunizm — jęczą aparaty.  
Góry! Złote od siarki, kwarców i pryty  
echo zmrożonych dolin, wody smolne ścieki  
woda odbija czystej brody stalaktytów,  
parzą końskie kulbaki, dręczą ogień spieki.  
Tam zemsta. Telegrafy stukają obłędnie.  
Tańczy luna, sinieje, albo zwolna wędnie.  
Nad głową wyją blachy aluminium  
i pachną góry cyprysem lub pinia,  
gdy przyklekając modlisz się o celność.

Powraca do Itaki zamary żaglowiec;  
lord jest błąd jak miesiąc. Pyta: Fletcher, powiedz.

Noc wyrzeźbia mu rysy cierpieniem korsarza  
mlecząca kropla potu na skroniach przeraża.

Gdzie wiek, co widział gorycz jego dumnej wżgardy —  
oto sen zdjęto z powiek, sen cichy i twardy.

Kiedy zabiła sercem sumienia godzina;  
poznają Helleńczycy następców Elgina.

Tutaj echa drzemały w grotach. Stare dzieje...  
cień opiera się ciężko na lasce, kuleje.

Bryg wsiąka jak nietoperz za kolumną Korfu,  
lord duma o wyziewach malarli i torfu.  
Noc była taka ciemna, wiosenna, gdy ongiś  
niesiono go na tarczy w bagnach Missolongi.

**M**NIEJSZA o to, gdzie i jak się to  
zaczęło, że tych parę dni ostat-  
nich miesiąca biorącego swą na-  
zwę od nienajładniejszej cechy zimy —  
jest świętem dzieci.

Dla nich to wśród czterech ścian domu  
wyrastają pachnące lasem i śniegiem zie-  
lone drzewka, gwiazdy zmieniają się w  
świeczki na gałkach, a pod oświetlonymi  
drzewkami czeka uśmiech losu — poda-  
runki.

Takim tradycyjnym podarunkiem  
gwiazdkowym jest dla dzieci książka.

Podczas tej trzeciej po wojnie Gwiazdki  
wystawy księgarń były zarzucone koloro-  
wymi książkami dla dzieci. Wznowienia  
i nowości. Baśnie i przygody, historia i  
przyroda, technika, wycieczki, życiorysy  
bohaterów, wojny i zabawy. Fantastyka i  
realizm. Proza i wiersze... każdy niemal  
rodzaj treści, każdy gatunek formy! Jak z  
rogu obitości posypało się wszystko. Zna-  
lazł się papier, farby, drukarze, introli-  
torzy. Prawda, papier nie zawsze odpo-  
wiedni do rodzaju wydawnictw... Farby  
nie najlepsze... druk często niestaranny, w  
wielu wypadkach nawet niechlujny... o-  
prawa nieraz tandetna... Za to cena! że  
proszę siadać, z wrażenia po jej usłyszeniu.

Wina wydawców? Wyśrubowali ceny  
nadmiernie, dla zysku? Byłoby niespra-  
wiedliwoscią tak twierdzić. Wyprodukowa-  
nie książki takiej, jaką położono przed  
oczy kupującego istotnie kosztowało wy-  
dawcę słono. Lecz — czy musiało tak być?  
Zastanówmy się chwilę.

EWA SZELBURG ZAREMBINA

## REFLEKSJE

## PO TRZECIEJ POWOJENNEJ „GWIAZDCE“

Jakież to były tegoroczne nakłady? Ma-  
ją: 5-7 tysięcy egzemplarzy. A wiadomo—  
im mniejszy nakład, tym większe koszty.  
Jakaż była zewnętrzna szata ksiązek? Po-  
wiedzmy to sobie: ponad stan nasz. Rzu-  
cono na rynek książki w naszych trudnych  
warunkach luksusowe: wielobarwne, bar-  
dzo liczne ilustracje, mnóstwo światła w  
tekście, układ tekstu wykwinny, pociąg-  
ający za sobą marnotrawstwo papieru, —  
a przy tym wszystko razem niedociagnię-  
te do zamierzonego poziomu!

Powiedzą mi teoretycy-esteci:

Należy przecież kształcić dziecko w pię-  
knie.

A ja się spytam: Jakie dzieci, które?

Robotnik, pracownik umysłowy, chłop  
wreszcie dziecku swemu nie kupi książek  
po kilkaset złotych. Nie ma możliwości  
kupić nawet jednej tak drogiej.

Ile jest w Polsce dzieci tych rodziców?  
Kilka milionów. Nie dla nich jest więc  
drukowana droga książka w parotysięcz-  
nym nakładzie, i nie w nich będzie ona  
rozwijala poczucie piękna. Treść jej —  
dzieci tych nie wzruszy, nie zabawi, nie

poczy — one przecież tej książki nie zo-  
beczą wcale. U siebie w domu — nie, w  
przedszkolu, w szkole, świetlicy — może.  
Ale nie w każdej. Bo nie tylko domy są  
u nas jeszcze ubogie. Ubogimi bywają tak-  
że jeszcze niektóre świetlice, szkoły i  
przedszkola. Szczególnie te oddalone od  
większych miast, te tak dzielnie nieraz bo-  
rykające się z wieloma trudnościami.

Trudno może jest wymagać od wszyst-  
kich prywatnych wydawców zrozumienia  
sprawy tak oczywistej. Ale czemu wydaw-  
nictwa spółdzielcze i państwowe nie sta-  
ną na słusznym stanowisku, że nareszcie  
dziś, w Polsce robotniczej i chłopskiej, w  
Polsce ludzi pracy, książka musi należeć  
się jak chleb we wszystkich rękach, od rą-  
czek dzieci poczynając właśnie.

Ale na to, aby i książka stała się pokar-  
mem, musi ona być jak chleb dostępna—  
tania. Jak najtańsza

Nie potanieje, jeśli nadal kalkulację  
produkcji wydawniczej opierać będą wy-  
dawcy na jednostkowym czytelniku. Tyl-  
ko czytelnik masowy, objęty przez biblio-  
teki powszechne i czytelnik zrzeszony w  
klubach rozwiąże ten problem.

Ustawa biblioteczna jest już, chociaż  
wciąż jeszcze nie wchodzi w życie. Co do  
instytucji klubów tak bardzo rozwinę-  
tych w innych krajach np. w Czechosło-  
wacji, to staną się one u nas wtedy realną  
siłą, gdy będą grupowały nie luźnych  
członków, ale związały swe istnienie z taki-  
mi zbiornikami sił, jakimi są wielkie orga-  
nizacje młodzieży. OM TUR, Związek  
Walki Młodych, Harcerstwo.

Dla tej młodzieży i jej młodszego ro-  
dzeństwa musi się znaleźć w wielotysięcz-  
nych nakładach dobra książka wydana  
pięknie a skromnie (bo piękno nie jest je-  
dnoznaczne z silieniem się na zbytek). Dla  
tej młodzieży i dla tych dzieci nasi wyda-  
wcy i spółdzielnie i państwo muszą zna-  
leźć nowy typ wydawnictw. Książkę ta-  
ką, na którą dziecko robotnicze i chłopskie  
nie będzie patrzyło tylko przez szybę księ-  
garni, ale którą wzięmie w swoje ręce i  
przyciskając do piersi, poniesie ze sobą i  
przeczyta.

Oto czego pragnie pisarz.  
Nie procent autorski od wysokiej ceny  
luksusowo wydanej książki i nawet nie  
teoretyczne w tych warunkach zalecenie  
do szkół go cieszy.

Cieszyć go będzie — gdy książkę jego  
po najniższej cenie kupować sobie będą  
mogły wszystkie, ale to wszystkie dzieci.  
Dla nich przecież pisze.

Po cóż by bowiem pisał?

Fwa Szelburg Zarembina

Warszawa, w styczniu.

**P** IWNICE starych kamienic mają wiele braków, które mogą pozostać niezauważone, dopóki nie zamieszka tam człowiek. Związka w porze, kiedy na ziemi topnieje śnieg i słońce w gałęziach budzi pierwsze soki — pod ziemią daje się we znaki wilgoć. Występuje przeważnie na ścianach, które wówczas są obdarzone zdolnością naby ludzkiego oddechu; parna stęchlizna, jaka z nich wypelza, posiada niemiłą woń kanałów, co tłumaczy się bliskim sąsiedztwem. Szczury zamieszkują tu chętnie, gdyż instynkt tych stworzeń każe im szukać schronienia wszędzie, gdzie człowiek rzadko się pojawia, a jednocześnie żyć w jego pobliżu; rzuca to światło zarówno na szczury jak i na człowieka. Do mniej dotkliwych przykrości należą pajęczyny, które na skutek wilgoci lepia się włosów i twarzy, tłusty pył po węglu, a także zapach gnijących kartofli — jeśli już doprawdy mowa o drobiazgach. Tym niewygodom i brakom nie trzeba się jednak dziwić. Większość domów śródmieścia budowano w czasach, gdy sytuacja mieszkańców była ustaloną prawnie, gospodarczo i moralnie. Pojęcie człowieka, w myśl zasad indywidualnej wolności, pięło się wówczas w stronę wyższych pięt, spychając poniżej parteru, w myśl tych samych zasad, inne pojęcie człowieka. Powstała stąd harmonia tak ściśła, że kiedy siły z niej zrodzone wtargnęły z hukiem do kamienic w najcichszych zakątkach świata, okazało się, że nie są przygotowane do ich przyjęcia. Człowiek, któremu nagle postawiono przed oczami jego własną wolność, przeraził się jej i zapragnął schronienia bezpiecznego od ludzi.

Po kilku dniach Jakub przywykł do niewygód i ciemności; kasjer, który w nocy przynosił mu jedzenie, zastawał go najczęściej na szeszlony leżącym nieruchomo, z rękami ukrytymi pod kołdrą. Malina siał wówczas na brzegu postania; radził Jakubowi, aby wstał i rozprostował kości. — Straszisz siły — tłumaczył mu, wyjmując żywność z kieszeni płaszcza — podnieś się i zrób choć parę kroków. Ale Jakub spoglądał na niego oczami, które w blasku świecy wydawały się większe niż zwykle, i mówił, że tak mu jest lepiej. Malina protestował zrazu, sięgając po argumenty z dziedziny medycznej, lecz później godził się na to bez słowa, rozumiejąc zapewne, iż tutaj, pod ziemią, o własnym życiu rozstrzygać ma prawo tylko Jakub.

W pierwszym tygodniu kasjer, zapalający świecę, spotykał niespokojny, jak gdyby ucieszony jego ust, wzrok Jakuba patrzący spod ściany. Nietrudno było odezwać w nim pytanie: czy mogę już stąd wyjść panie Malina? Ale odkąd Malina powiedział mu o powrotnych odwiedzinach Gienia Apfla, który pojawił się w towarzystwie policjanta i żądał pieniędzy, używając słów dość ordynarnych, Jakub witał kasjera posłusznym, smutnym spojrzeniem spod przykrytych powiek. Jego oczy odwykły od światła, przyzwyczały się natomiast do milczenia; z czasem więc Malina skrócił swoje wizyty i odchodził mówiąc: — Do jutra — a Jakub odwracał głowę, gdyż było mu wstyd, że kasjer zabiera z sobą kubek, który należało wypróżnić w mieszkaniu.

Samotność i mrok nie od razu wywierają swoje skutki. Działają stopniowo, powoli, lecz kto wie czy, mimo przeciwnych pozorów, życie człowieka nie ulega najgłębszym przemianom właśnie wówczas, gdy pozostawiony sam na sam z ciemnością może w niej dostrzec załedwie własne dłonie, jeśli bardzo blisko przysunie je do oczu.

W pierwszych dniach swego ukrycia Jakub wiele godzin spędzał kłęcząc na postaniu, z policzkiem przytulonym do szpary w desce zasłaniającej okienko. Wychodziło na podwórze i Jakub mógł oglądać harce dwóch kotów w śmietniku, zabawy dzwinynek odbijających piłkę o ścianę nad jego oknem, a także zablocone trzewiki żebraków, którzy zazwyczaj ustawiali się tyłem do niego, recytując swoje prośby i zaklęcia w stronę frontowych mieszkań. Wiosna była zapewne już w pełni, powietrze nad wilgotnym brukiem wydawało się czystsze i lżejsze; dzieci biegały w rozpiętych płaszczkach, wiatr coraz leniwiej poruszał strzępy starych gazet, walające się w błocie, a pewnego razu, wieczorem, na podwórzu rozległ się chóralny śpiew, którego Jakub wysłuchał ze wzruszeniem i lękiem, gdyż odczuł w nim wiele własnych trosk. Tej nocy, zamiast kasjera, cierpiącego podobno na wiosenny bronchit, w piwnicy pojawiła się Kazia; od niej Jakub usłyszał, że przed świętą figurą na podwórzu odbyło się wieczorne nabożeństwo za dusze wojennych ofiar. Również od Kazi dowiedział się Jakub o tym, że jest Wielkanoc i pogodą coraz cieplejszą, a wreszcie, że żydzi za murami strzelają do Niemców.

— Proszę pana — powiedziała Kazia — niech pan nie będzie smutny. Wszyscy im pomogą. Pan Malina przysłał placek i kazał powtórzyć, że jak tylko wyzdrowieje, zaraz do pana przyjdzie.

KAZIMIERZ BRANDYS

CZĘŚĆ  
DRUGA

S

A

M

Jakub nie odpowiadał, lecz słuchał uważnie, leżąc oparty na łokciach. Świeca kładła żółtawy cień na jego twarz; dlatego pewnie wydawał się zczerniały i wychudły, a dawno niestrzyżone włosy podobne do zlepionej sierści.

— Proszę pana... — szepnęła Kazia, którą zapewne ogarnął lęk na widok zmienionej twarzy Jakuba. Odsunęła się od niego i zaczęła płakać; gdy Jakub nadal milczał z zamkniętymi oczami, wstała ostrożnie, poczym, cofając się w stronę drzwi, prędko uciekła.

Wkrótce po tej nocy rozpoczął się nowy okres samotności Jakuba. Odtąd nie wstawał już z postania, aby oglądać przez okno życie na podwórzu — nawet wówczas, gdy słyszał szczerkanie Atosa, którego kasjer wyprowadzał zawsze o tej samej porze na poranny spacer, przechadzając się blisko piwnicy, gdzie kłęczał Jakub z okiem przytkniętym do szpary. Teraz wszystkie godziny dnia i nocy spędzał bez ruchu; leżąc na wznak, pozwalał się ogarnąć ciemnością, w której zanikał czas, dźwięki i kształt, a nawet sam człowiek — tak że nieraz Jakuba nachodziło złudzenie, iż przestał istnieć jako byt cielesny i że została po nim tylko myśl — jedyny dowód nowej egzystencji Jakuba Golda na świecie.

Z czasem, którego już nie liczył, odkąd zastąpił go mrok, myśli Jakuba zaczęły się mieszać ze snem. Potrafił zasypiać w połowie urwanej myśli i śnić ją w dalszym ciągu, lub też odwrotnie — budzić się, aby dalej rozmyślać nad tym co widział we śnie. Jedno i drugie bowiem było do siebie podobne, oraz tak samo prawdziwe. Myśli i sny Jakuba stały się w tych dniach nadzwyczaj wyraźne; można więc powiedzieć, że wzamian za świat, który mu odebrano, otrzymał inny, nie mniej bogaty, lecz zato bardziej bezpieczny. Spotykał w tym świecie wszystko czego pragnął, wraz z sobą samym, którego oglądał takim, jakim być powinien, w myśl tego co sądził o uczciwym życiu.

I cóż dziwnego, że świat marzeń Jakuba przedstawiał się podobnie do ulicy Łąkowej, gdzie w ciepłe popołudnia gołębie spacerowały po dachach, wydymając krągłe piersi, i gdzie nie tylko ludzi, ale psy i koty znało się z imienia... Leżąc na barłogu, pośrodku ciemności, która wydawała się nieskończona, Jakub wiodł długie rozmowy z sobą samym z tych prostych, pogodnych lat, gdy największy lęk wzbudzał w nim groźny ryk profesora Baturyna, a dyrektor gimnazjum uchodził w jego oczach za siłę wyższą, dla niepoznaki ubraną w sztućkowe spodnie. W chwilach głębokiej ciszy, kiedy wszystkie piętra nad jego głowę pograżały się we śnie, i żaden odgłos prócz szelestu papierów w śmietniku, nie mącił mu wspomnień, Jakub widział wyraźnie, na odległość ramienia, ładnego, chłopca o wesołej twarzy i kędzierzawych włosach, w czarnym, wysoko zapiętym mundurku, wychylnego z okna z korkowcem w rękę. Za oknem, na tle obłoków pływających łagodnie po ciepłym, nieruchomym niebie, fioletowo rysowały się dachy i kominy barwy cynobru, z sinymi smużkami dymu, które rozciągał wiatr. Wówczas Jakub wyciągał ramię, i czekając aż opuści korkowiec po niecelnym strzale, lekko dotykał palcem pleców Jakubka Golda — aby mu pokazać siebie, z ciemną wychudłą twarzą o oczach zapadniętych i byszczących, w których zostało tylko zmęczenie i strach. Stał przed nim, bezwładnie zwiesiwszy ręce, i milczał tak długo, póki tamten nie poznał w nim swojej przyszłości, swoich włosów i ust, po dziesięciu latach, gdy świat uczynił już z niego człowieka. Dopiero wtenczas Jakub zabierał głos i tłumaczył mu spokojnie, że nie potrafi odpowiedzieć na żadne z jego pytań. — Nie rozumiem — szeptał ze zdumieniem, opowiadając mu o swoim obecnym życiu w ciemności, pod ziemią, wśród szeszczeń, pajęków i zakurzonych szeszczeń mebli. Rozkładał ramiona, milczał, z brwiami uniesionymi zdziwioną niewiedzą, po czym znów go zapewniał, iż nie rozumie jak to się stało, że przychodzi do niego po latach z tak zmienioną twarzą. — Widocznie — szeptał wreszcie — los niezawście pozwala człowiekowi stać się takim jakim pragnie. — Tak — odpowiadał wówczas Jakubek na podziw rozsądnie: — Jakim pragnie być sam i jak życzy wszystkim innym ludziom.

Wśród podobnych wyobrażeń często Jakub zasypiał; wtedy z głębi nocy wychodziła ku niemu matka, pod rękę z garbatym Arturem Joasem, i po prostu, bez wstępów włączali się oboje do owych rozmów na Łąkowej. — Leben und leben lassen —

mówiła, surowo grożąc mu palcem, nie słysząc jak tłumaczył, że przecież zawsze pragnął, aby on sam i inni mogli żyć spokojnie. Ale nie potrafił wszystkiego wyjaśnić, gdyż Artur Joas kładł na nim uroczyste spojrzenie, i przysuwając blisko swą białą długą twarz szeptał charczącym głosem: — Gold, pamiętaj, że urodziłeś się Żydem — na co Jakub pocieszał go natychmiast, że jak dotąd nie pozwolono mu o tym zapomnieć.

Nieraz, w połowie takiego snu, nagle znajdował ściany swojej celi; ciche pukanie nad głowę dawało mu znać, że tylko parę cegieł odgradza go od przyjaciela, który był w jednej osobie Wackiem Pankratem i Tołem Szarlejem. Płakał wówczas przez sen i czuł się cały tak słaby, jak jego ręka, której nie mógł unieść, by wystrukać umówiony sygnał. Lecz wiedział przecież, że tamten, po drugiej stronie, draży dzień i noc otwór w murze, przez który on, Jakub, wyjdzie kiedyś na wolność; więc kołysany tym odgłosem — a był nim zapewne szurgot naderwanej blachy u rynnę, którą targał wiatr — zasypiał spokojnie.

Za dnia jednak potrafił rozmawiać logicznie; ale i wtedy nie opuszczało go złudzenie nad swoim losem, który go sprowadził tak głęboko. Czasami próbował odnaleźć związek między tym, co go spotkało, a tym, co uczynił na Uniwersytecie — i starał się dopatrzeć w swoim nieszczęściu dalszego ciągu kary, jakiej nie odcierpiał do końca za popełnioną zbrodnię. Byłoby mu lżej na sercu, gdyby zdołał o tym sam siebie przekonać; lecz nie powiodło się to ani razu, gdyż Jakub, w głębi swej znużonej duszy nie umiał o sobie myśleć jak o prawdziwym mordercy, pełen bezsilnej pewności, że cierpi tylko za to, co ludzie widzą w jego twarzy.

Od dłuższego już czasu Malina odwiedzała go rzadziej i zjawiała się w piwnicy co trzy lub cztery dni, przynosząc odpowiednio zwiększone zapasy żywności. Po każdych odwiedzinach, następnym razem bawił trochę krócej, tłumacząc to względami bezpieczeństwa, aż w końcu ustalili się zwyczaje, że kasjer, przysiadłszy chwilę na brzegu postania, przykładał bez słowa dłoń do czoła Jakuba, poczem odchodził wzdychając.

Raz jednak, gdy był już przy drzwiach, dobiegł go cichy szepł Jakuba, uczynił więc z powrotem kilka kroków i pochylił się nad barłogiem.

— Panie Malina — powiedział Jakub — czy oni się jeszcze bronią? Kasjer nie od razu zrozumiał, o kogo Jakub pyta; maj dobiegał właśnie końca w raptownych, krótkich ulewach, między którymi coraz weselej rozpinało się błękitne niebo — a jak wiadomo, w tych czasach każdy nowy dzień odsuwał daleko wstecz wczorajsze sprawy. Ale po chwili namysłu Malina odgadł, że Jakub pyta o powstańców z ghetta. — Nie — odrzekł zatem łagodnie — nie bronią się już, bo walczyli tak dzielnie, że Niemcy odstąpili od murów.

Wtedy Jakub podniósł się na postaniu i schwylił go za rękę: — Czy pan mówi prawdę, panie Malina? — spytał, wojując w kasjera rozszerzone oczy. — Nigdy nie kłamię bez potrzeby, Jakubie — odparł kasjer z akcentem godności, i jakby chcąc udowodnić swoją prawdziwość, woiłą ręką zdjął z nosa binokle. Drugą Jakub przytrzymał w obu swoich dłoniach; uśmiechnął się, mówiąc do Maliny: — Więc widzi pan, miałem przecież rację. Zawsze trzeba się bronić. Prawda, że miałem rację, panie Malina?

Kasjer odchrząknął głośno, potem rozłożył ręce na znak całkowitej omyłki: — Cóż? — westchnął — błądzić jest rzeczą ludzką. Oczywiście, że miałem rację, Jakub. Ale czy kiedykolwiek kazalem całować się w pantofel, lub układać dogmaty o swej nieomylności? No, czas na mnie... — mruknął, odwracając głowę. — Dobranoc, mój staru. — Dobranoc, panie Malina — odpowiedział Jakub prawie wesołym głosem.

Od tego dnia kasjer znów zaczął codziennie schodzić do piwnicy i zatrzymywał się dłużej, za każdym razem przynosząc pomysły nowiny. Jednego nawet wieczoru wyciągnął z kieszeni gazetkę, zmiejąc zapewne przez wiele rak; przy migoczącej świecy odczytał Jakubowi ostatnie wiadomości z frontów, gdzie Niemcy i Włosi cofali się na szerokiej linii, w niejednym punkcie porzucając broń. „Wolność jest bliska“ pisał nieznan autor, komentując najnowsze wypadki „czekajcie, aż pierwsza liście opadną z drzew“. Jakub milczał, ze wzrokiem utkwionym w Malinę, po chwili zaś poprosił, aby przeczytał komunikat jeszcze raz od początku, co kasjer

uczynił bez sprzeciwu. Gdy skończył, Jakub zapytał, w jakim miesiącu pierwsze liście zaczynają opadać z drzew. Na to Malina odparł po namyśle, że zasadniczo okres ten przychodzi w październiku, ale pamięta lata, w których niejedno liść opadł dużo wcześniej, przy czym kalendarzowa jesień rozpoczyna się już we wrześniu, a więc niedługo. — Za trzy miesiące — obliczył Jakub na palcach. — Tak jest — potwierdził kasjer — za trzy miesiące. I dodał: — Z tego wynika, że wolność rzeczywiście jest bliska.

Dni, które potem nastąpiły, można by uważać za trzecią epokę w piwnicznym życiu Jakuba. Rozmowy z kasjerem wlały nową nadzieję w jego serce, już bardzo zmęczone, i pobudziły go do mniej gorzkich rozmyślań. W tym czasie czuł się silniejszy i jakby oswojony z swym losem. Kiedy pewnego razu Malina zaproponował mu powrót do mieszkania, Jakub odpowiedział, że woli pozostać w piwnicy. — Tak jest lepiej, panie Malina — mówił kręcąc głową, gdy kasjer nie przestawał go namawiać, twierdząc, że Gienio Apfel musiał o nim zapomnieć, skoro już od miesiąca nie pojawił się na Kruczej.

Lecz Jakub nie chciał o tym słyszeć i został w piwnicy. Noce były teraz ciepłe, więc często, odsunawszy deskę, ostrożnie uchylał okno, i kłęcząc na postaniu przyglądał się trzem gwiazdom, które błyszczały co noc nad czarnym konturem dachu. — Trzy miesiące — powtarzał wówczas w myśli, widząc w tym dobry znak — za trzy miesiące wyjdę stąd na ulicę, kto wie, może wprost w walkę, w której będę potrzebny... Było to ostatnie, wielkie marzenie Jakuba. Od czasu, gdy Malina przysłał się przed nim do swojej omyłki, Jakub, który dotąd bał się śmierci; teraz odczuwał lęk tylko przed jednym jej rodzajem: przed śmiercią nieużyteczną. Sądził bowiem, że jeśli zginie jak robak przydeptany butem, wówczas dopiero stanie się najgorsze — bo skoro jego śmierć okaże się niepotrzebna, dla wszystkich będzie jasne, że Jakub Gold przez lat dwadzieścia sześć niepotrzebnie żył na świecie.

Od takich myśli często chronią gwiazdy, których widok uczy jak niewielką istotą jest człowiek i jak bardzo zawisła od spraw większych niż on. Dlatego Jakub przycisnął swoją kudłatą głowę do szyby, za którą wysoko nad dachami rozlewało się spokojne niebo, a niżej, mniej spokojnie trwał wojenny świat. Gdyby ktoś niepostrzeżenie przekroczył próg piwnicy i zakradł się na palcach za plecy Jakuba, usłyszałby jego szepł. Była to modlitwa, którą zwracał do nieba, błagając o tak wielką siłę, aby mógł w chwili śmierci jednym dźwiękiem ramion wyważyć z posad wszystkie zło. Wiedział jednak, rzecz prosta, że wymaga zbyt wiele — lecz, jak zwykle w modlitwach, z tego co prosił spodziewał się otrzymać tylko część. Byłby przecież zupełnie szczęśliwy, gdyby pozwolono mu raz jeszcze spotkać swoich przyjaciół, których dawno nie widział, i z myślą, że znowu jest przy nich, zginąć tak zwyczajnie, jak siedmiu kolegów z Kopińskiej — od kuli lub szrapnelu, choćby przypadkiem, bez wielkiej ofiary.

Przed świtem, kiedy niebo zaczynało szarzeć, Jakub zasypiał — z przykrynięciem powiek wychodził mu naprzeciw pogodny wrześniowy dzień, gdy pierwsze opadłe liście, które wiatr przyniósł pod jego okno, dadzą mu znak, że jest wolny i może wyjść z piwnicy. Lecz w rzeczywistości stało się to dużo wcześniej — bo Jakub opuścił swą kryjówkę 24-go lipca, w dniu kiedy Mussoliniego obalono we Włoszech.

Lipiec, jak wiadomo, był w tym roku upalny, na froncie wschodnim walki toczyły się w stepach rozrządnych od słońca, a nad Wisłą, w Warszawie, ludzie wygrzewali się, mimo groźących obław leżąc pokotem na piasku, co z mostu Poniatowskiego można było oglądać w każdą niedzielę.

Pewnego dnia, przed południem, gdy szpary deski zasłaniającej okno wpuściły w siebie złote, gorące światło — Jakuba wyrwało z rozmyślań szczerkanie Atosa. Nietrudno było odgadnąć, że to kasjer wraca do domu z porannej przechadzki. Lecz w chwilę potem Jakub uniósł się na barłogu i przysunął ucho do deski, gdyż szczerkanie przeszło w piskliwy skowyt, a jednocześnie od bramy zaczął się przybliżać pomieszany gwar kilku ludzkich głosów, z których jeden powtarzał: — Powoli... Ostrożnie... Po kilku sekundach tuż pod oknem rozległo się szuranie nóg: Jakub łowił uchem ciężkie, szybkie oddechy ludzi niosących ciężar. — Proszę położyć

## S O N (IV)

na ziemi — nakazał suchy głos — zaraz będą nosze. Po szparach w desce przesunął się cień, po czym znów wyblęskło z nich światło i zapadła cisza. — Czy on wyżyje, panie doktorze? — zapytał ktoś lekliwie. Nie było odpowiedzi.

Jakub uklęknął na posłaniu i ostrożnie odchylił deskę. Z początku nic nie mógł zobaczyć, bo w wąski otwór naciekło zbyt wiele słońca, — ale po chwili jego wzrok oswoił się ze światłem; wtenczas Jakub o krótko przed sobą ujrzał wyciągnięte na bruku nogi kasjera Maliny. Poznał je od razu po spiczastych bucikach z cholewkami, sznurowanych na haczyki. Twarzy swego opiekuna Jakub nie zdołał zobaczyć, gdyż zasłaniały ją plecy człowieka, kłęczącego nad ciałem. Wokoło tłoczyły się nogi kilkunastu gapiów. Jeden z nich trzymał zapewne Atosa; jego ostry pysk, z kępką czarnej sierści na nosie, coraz ukazywał się z pomiędzy ludzkich nóg, lecz zniknął natchmiast, szarpnięty obcą ręką. Wtedy było słychać zrozpaczony skowyt. — Panie Malina... — szepnął Jakub.

— Nosze — odezwał się znów nieznamy głos i powtórzył swoje: — Powoli... Ostrożnie... Twarzy kasjera Jakubowi nie udało się jednak zobaczyć, bo gdy kładziono go na nosze, kłęczący dotąd mężczyzna wstał z kolan i zasłonił sobą całe okno. Po chwili wszyscy odeszli, przed oknem zrobiło się nagle cicho i pusto; wtedy Jakub dostrzegł filcowy kapelusz Maliny, zmierzony już mocno i zrudziały; leżał w odległości ramienia na bruku, obok niewielkiej, zaschniętej kałuży krwi. Nie mógł wszakże długo mu się przyglądać, bo z bramy wybiegli zadyszany chłopak, i podniósłszy go szybko, zawrócił na pięcie.

Wieczory w lipcu nie zapadają wcześniej; dzień w tym miesiącu trwa długo. Mimo iż nabożeństwo dawno już zakończono, ludzie nie śpieszyli się do mieszkań; na podwórzu słychać było rozmowy prowadzone szepem, wśród czystych westchnień. Dopiero około północy Jakub usłyszał zgrzyt otwieranej kłódki. Odgadł, że w progu stanęła Kazia i że oparła się plecami o zamknięte drzwi. Jakub siedział bez ruchu na posłaniu. Nie zapaliła świecy, więc mogli nie patrzeć na siebie. — Czy on żyje? — zapytał Jakub. Długo czekał na odpowiedź. — Panie Jakubie... — rozległ się po chwili szepet Kazi — panie Jakubie... W ciemności usłyszał, jak zbliża się ku niemu drobnymi kroczkami; kiedy poczuł ją koło siebie, zrozumiał, że drżenie chudych ramion, które pogładził ręką, to był jej płacz. — Cicho... — powiedział Jakub i dotknął palcami jej włosów.

Z ust Kazi wysłuchał po chwili wszystkiego co zasłó. Malina leżała już w kostnicy. Podobno nie był zmieniony, tylko skroń w jednym miejscu miał głęboko rozcięta. Tego dnia, jak zwykle, kasjer wyszedł o godzinie 10-iej na spacer z Atosem; już w kapeluszu, wspomniany, że przy okazji wstąpił do restauracji w Alejach, gdzie nie zapłacono mu jeszcze za dostarczony likier. Restauracja znajdowała się na drugiej stronie ulicy, trzeba więc było przejść jezdnię, o tej porze ruchliwą. W momencie, gdy przejeżdżał tramwaj, Atos dostrzegł na przeciwnym chodniku suknię z rasy terrierów, do których czuł nieprzyjaźń. Wyrwał się Malinie, jak zeznali przechodnie, a kasjer rzucił się za nim — wprost pod koła rozpedzonej ciężarówki, nagle odskoniętej przez tramwaj, który zdążył ich minąć. Błotnik uderzył go w głowę tak mocno, że podobno ciało Maliny wykonało koziołka w powietrzu i upadło na bruk o kilka kroków dalej. — Tak zginać — płakała Kazia — w dzisiejszych czasach. Niech pan sam powie, panie Jakubie... Żalowała pewnie, że śmierć kasjera nastąpiła w sposób niezbyt bohaterowski i że nikogo nie można było nią obciążyć. — Co teraz będzie? — szepnął Jakub.

Pogrzb kasjera odbył się w poniedziałek. Tego dnia na podwórzu, tuż koło okna piwnicy, dwa głosy męski i kobiecy prowadziły rozmowę, która rzuciła światło na przeszłość Jakuba.

— Człowiek był dobry — mówił pierwszy głos — ale życie marnie. Kto raz siedział w więzieniu, tego o sto mil znajdzie psia śmierć. Umarł przecie bez księdza, a popłakali nad nim tyle, co pudeł naskamlał.

— Kochał go więcej niż żonę — odpowiedziała kobieta — i przez niego ducha wyzyskał. Bo też dużo osób na świecie widziałam, ale takiego nigdy. Pysk miał żydowski.

— Wyje teraz w kuchni — objaśnił głos męski — bo stworzenie, choć ciemne, przecie swoją biedę rozumie jak człowiek. Wdo-

wa nie chce go dłużej trzymać. Mieszkanie odnajmie i wyjeżdża z tym kaszłym chuchrem do ludzi, na wieś.

— Syna tu straciła i męża. Robota także nie pchała jej się w ręce. A jak on umarł, to już pieniądze dla niej kraść nie będzie. Zawsze mówiłam: niezły człowiek, ale marny.

Po milczeniu Kazi, która przyszła w nocy do piwnicy, Jakub zrozumiał, że wiadomość, jaką usłyszał, jest prawdziwa. Z początku ogarnęła go rozpacz, potem przygotował się na śmierć i nie czuł nawet goryczy, że o nim zapomniano. Z żoną Maliny nie siedział przecie w jednej celi, trudno było od niej wymagać przyjaźni, jaką okazywał mu kasjer. — Pójdę gdzieś — myślał Jakub — byleby mnie szybko zabił... Powiedział to Kazi, ale ona zaczęła go prosić, żeby jeszcze zaczekał. — Niech pan Jakub nie traci nadziei — mówiła gorąco — ja będę myśleć i coś poradzi mi, może ktoś znajdzie się w domu, kto pana weźmie do siebie. Wyjeżdżamy na wieś dopiero za trzy dni... Lecz Jakub kreślił głową ze zwartym: kłóż chciałby brać do domu śmierć.

Nie słyszał, kiedy wyszła; długo potem siedział na posłaniu, ścisnąc rękami skronie. A jednak zasnął tej nocy i spał dość spokojnie.

Czasem, w sytuacjach dla człowieka trudnych zabiera głos przypadek, i nadając szybszy bieg sprawom koniecznym, uwalnia od powzięcia decyzji tego, kto tak czy owak musiałby im ulec. Przypadki rzadko bywają cudowne — częściej logiczne i trzeźwe. Świat stosuje je nieraz w życiu człowieka, delegując przedmioty martwe lub siły natury do wykonania funkcji nieuchronnych, w zastępstwie innych elementów, których działanie byłoby mniej proste. Tę przypadkową funkcję w sytuacji Jakuba spełniła kłódka u drzwi.

Zwykle kasjer odchodząc zamykał ją z zewnątrz. Jakub słyszał zgrzyt klucza, potem oddalające się kroki Maliny. Zapewna Kazia ostatniej nocy założyła ją niedokładnie: nie dostrzegła w ciemności, że klucz zamknął wprawdzie kłódkę, lecz kłódka nie zamknęła drzwi. Pozostały otwarte; nazajutrz rano Jakub, leżąc na posłaniu, usłyszał tuż pod drzwiami rozmowę. Poznał te same głosy, które poprzedniego dnia prowadziły dialog koło jego okna.

— To Malinów piwnica — powiedział głos kobiecy. — Za życia sam dźwigał z niej kartofle i węgiel.

— Teraz sobie odpocznie — odparł męczyzna — tam pewnie kartofli nie jedzą, a ogrzewanie centralne.

— O! — pisnął pierwszy głos. — Proszę, drzwi nie zamknęli! Trzeba zajrzeć, może wdowa jest w środku...

— Skarbów tu pewnie nie ma — brzmiała odpowiedź — ale zajrzeć można.

Jakub wstał i uczynił krok naprzód. Przez głowę przelatywały mu bezładne myśli: zaprzeć sobą drzwi, albo wpuścić ich i prosić o milczenie. W sekundę jednak zrozumiał, że nie wolno mu tak postąpić. Wszystkie sny, w których spłacał swój wielki dług Malinie, złączyła ta sekunda w jeden powolny, groźny sen; właśnie zaczynał się dzień. — Jeśli mnie tutaj przyłapią — pomyślał szybko Jakub — okaże się, że Malinowie ukrywali Żyda... W ostatniej chwili ogarnął wzrokiem piwnicę: nie miał tu prawa nawet zginać, bo jego twarz po śmierci sprowadzi żandarmów na żonę kasjera i Kazię. — Jeśli ucieknę jak złodziej, zanim zobaczą moją twarz, panie Malina... Ale nie umiał dokończyć tej myśli, gdyż opadł go lęk przed ulicą, pełną obcych ludzi, wśród których wtedy musiałby się znaleźć. — Panie Malina... — powtórzył szepem, jak gdyby prosząc zmarłego kasjera o siłę w trudnej decyzji.

Drzwi uchylły się powoli. Jakub zdążył zasłonić twarz ramieniem. W blasku świecy ujrzał dwie ludzkie głowy i dwie pary oczu, patrzące na niego ze zgrozą. Chciał im powiedzieć, że jest złodziejem i że przyszedł tu kraść — lecz krtań zacięła mu strach na widok człowieka. W chwili potem usłyszał krzyk, więc — podobnie jak w swoich dawnych snach — rzucił się ku drzwiom, roztrącając tamtych siłą swego skoku. Świeca zgasała: — Ludzie! Ludzie! — brzmiał za nim ostupały kobiecy wrzask.

Jakub dopadł pociemku schodów na podwórże; tu poczuł za sobą oddech mężczyzny, który go ścigał. Odwrócił się i naoslep wymierzył krótki cios pięścią. Tamten stęknął, poczem ciężko zwałił się na dół.

— Ludzie! — krzyczała kobieta, trzepocąc się w ciemności.

Ale Jakub był już na ulicy. Słońce dotknęło jego głowy, jak wielka, ciężka dłoń.

Stał oparty o ścianę narożnego domu, bo lęk na widok tych, których wzywała kobieta, odebrał mu resztę sił.

## VI.

Tego dnia, koło południa, liczni przechodnie w Alejach Jerozolimskich pokazywali sobie wzrokiem i palcami człowieka, który wzbudził na ulicy ogólne poruszenie. Posuwał się niepewnie wzdłuż ścian kamienic i jakby oślepiiony słońcem, naciągał lewą ręką na oczy koinierz marynarki, prawą szukając oparcia. Ludzie przystawali na chodniku, patrząc za nim ze zdumieniem; niektórzy, widząc jego osobliwe ruchy, sądzili, iż jest to niewidomy, lub wariat, jakich wielu błąkało się wówczas po ulicach. W pewnej chwili, niedaleko rogu Brackiej, zabiegł mu drogę wyrostek roznoszący gazetę; zdzielił go płachtą dziennika przez głowę, krzyżąc: — Patrzcie, ludzie na fradera! Zaczepiony człowiek wyciągnął wtedy przed siebie ręce obronnym ruchem i przytulił się bokiem do ściany, odsłaniając twarz. Na jej widok gazeciarski zawałił się moment, nagle stropiony, potem splunął i gwizdnął przez zęby, poleciał w stronę Marszałkowskiej, wrzeszcząc przeźrąliwie ostatnie wiadomości z frontów. Przy tej okazji kilku przechodniów zobaczyło twarz nieszczęśliwca: była koloru żółtych ludzkich kości; ciemne, nabrzmiałe wargi, głęboko zapadnięte oczy i czarny, dawno widać niegolony zarost — podkreślały tylko jej bezkrywą błądź. Starsza kobieta, niosąca dużą paczkę, zatrzymała się blisko niego, jakgdyby naraz poczuła zmęczenie. Nadchodził właśnie z przeciwnej strony listonosz z torbą na brzuchu. Zatrzymał się także. — Czy nie można mi pomóc? — zapytała kobieta. Listonosz mruknął, kiwając głową: — Sam Pan Bóg nie pomógł, a pani by chciała? — i odszedł. Kobieta powstała chwilę, śledząc wzrokiem włoścę; wreszcie i ona, wdychając, ruszyła przed siebie.

Minąwszy róg Brackiej, Jakub kierował się dalej w stronę Nowego Świata. Od chwili zdarzenia ze sprzedawcą gazet, nie zasłaniał już twarzy. Nadal trzymał się blisko ścian i mrużył oczy od światła; każdy przechodzień idący mu naprzeciw spotykał jego wzrok, w którym był strach i znużenie; ludzie, obeznani z myśliwstwem, mogliby to zrozumieć: taki sam wzrok mają zwierzęta w kotle, kiedy, niezdołne do obrony, wychodzą z krzaków wprost pod łufę. Jakub, osłabły od słońca, obezwładniony zgiełkiem i przestrzenią, w jakiej nagle się znalazł, oddychał coraz ciężiej, poruszał się z trudem; z czoła na powieki, na usta spływał mu słony pot. Z ludzkich twarzy, kiedy go mijaly, zniknął uśmiech. Jedni odwracali oczy, udając, że go nie widzą; inni, przeciwnie: zakręcali w miejscu i szli za nim, patrząc co się stanie. Kiedy zatrzymał się na rogu Nowego Świata, aby zebrać siły, otaczała go już spora grupka gapiów; cudem nie było w pobliżu Niemca — tylko dwaj kolejarze, przechodząc, spojrzeli na niego; jeden z nich machnął ręką, mówiąc: — Verrückter Jud — a drugi się rozśmiał. Ale Jakub tego nie widział. Szedł prawie poomacku, w jego głowie turkot i gwar wciął tłumy ostatnią ocalałą myśl; dlatego numer domu, który zapamiętał ze spisu telefonów, powtarzał sobie co krok, poruszając bezdźwięcznie zaschniętymi wargami. Na Nowym Świecie śledzący go tłumek zmniejszył się nieco: widocznie dawnym gapiom znudziło się patrzeć, nowych przybyło mniej. Kilku przechodniów przystanął jednak, odprowadzając go wzrokiem. — Jeden z nich, niepozorny, niemłody, podszedł bliżej i zagadnął półgłosem: — Przepraszam, dokąd pan idzie, proszę się nie lekkać... — na co Jakub nic nie odpowiedział i jakby nie słysząc, dalej włókł się pod ścianą w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

W lecie roku 1943 Warszawa była oczyszczona z Żydów. Rozbierano już mury. — W domach dawnego ghetta nowi mieszkańcy znajdowali podobno porzucone skarby. Ludność żydowska uległa zniszczeniu w tak zwanych „obozach śmierci“: po zaduszeniu gazem w komorach, ciała palono na popiół, a wyciekły z nich tuszecz służły, jak wiadomo, do produkcji niemieckiego mydła. W takich okolicznościach, kto pragnął się ocalić, szukał schronienia w lasach, lub zdawał się na łaskę tych, co zechcieli go przegrnać. Ci dzielili się na bezinteresownych, którzy przygarniali zadarmo i innych, którzy żądali pieniędzy; tylko lasy, bez różnicy, dawały każdemu bezpłatny przytułek. Na ulicach Warszawy niełatwo było spotkać w tych czasach człowieka o twarzy żydowskiej. Jeśli się pokazał, niewiele uszedł kroków: w ostatnich latach wojny niektó-

rzy ludzie trudnili się wydawaniem Żydów Niemcom dla zarobku. Z tych względów los Jakuba, od chwili gdy opuścił piwnicę na Kruczej, można było uważać za przesądzone na jego niekorzyść. Każdy człowiek przytomny, w położeniu tak trudnym, byłby wyczekał w jakimś ukryciu aż zapadnie ciemność i dopiero wtedy ruszył w dalszą drogę. A gdyby na to nie miał chęci — zważywszy, że w lecie tego roku polityczna noc zapadała za dnia, o godzinie dwudziestej pierwszej, jakby skwarny zmierzch, wtulony we wnętrza bram, zwlekał z wyjściem na ulicę do chwili, gdy całkiem opustoszeją — wówczas człowiek o wyglądzie Żyda powinien był sam oddać się w ręce pierwszego przechodnia i prosić go o śmierć; jeśli zaś odmówił, zanieść o własnych siłach swoje ciało Niemcom — ci nie odmawiali jej nigdy.

Nie należało jednak spodziewać się po Jakubie kroków tak rozsądnych. Jego umysł zapewne był trochę przyćmiony; niebo rozgrzane od żaru, światło zalewające oczy, powietrze nasycone kurzem, słońcem i zgiełkiem — w kilka chwil spełniły w nim do reszty wielomiesięczne dzieło mroku i nieruchomości. Lepiej więc teraz nie wnikać w myśli Jakuba. Pewne sytuacje czynią człowieka bardzo prostym: z wielu rzeczy, z jakich się składa, zostaje w nim wtedy tylko jedna: jest to jego ostatnie pragnienie, podobne do ocalałego żagla w czasie burzy na zdruzgotanym okręcie — jeśli, oczywiście, można porównać człowieka w niebezpieczeństwie z okrętem na wzburzonym morzu.

Za rogiem Ordynackiej zbliżał się w stronę Jakuba patrol żandarmerii polowej złożony z pięciu mężczyzn w hełmach głęboko nasuniętych na oczy i zielono-szarych mundurach z brązowymi koinierzami; dwóch miało przewieszzone przez ramię automatyczne pistolety, trzech — karabiny, których lufy pionowo sterczały zza pleców. W chwili, gdy Jakub był od nich o kilkanaście kroków, z ulicy Świętokrzyskiej skręcił firmowy samochód z napisem „Pasta Glob“ i zderzył się z dorożką; jej dyszel przebił boczną szybę kabiny. Wtedy patrol, dzwoniąc butami, wybiegł z chodnika na jezdnię i otoczył samochód z rozwścieczonym niemieckim wrzaskiem; dorożkarz, który spadł z koła, gramolił się teraz na asfalcie, szukając zgubionego bata, a ludzie, zawsze ciekawi nowych zdarzeń, już stali wokół, patrząc i komentując wypadek na niekorzyść szofera i cywilizacji technicznej. Nikt więc nie zauważył, że Jakub, minąwszy powoli pomnik Kopernika, wkroczył na Krakowskie Przedmieście.

W pięć minut potem służący Ksawerego Szarleja, Kwiecień, usłyszał dzwonek u drzwi. Nie śpiesząc się, uchylił je ostrożnie i zapytał, kto tam. To, co zobaczył, sprawiło, iż zawałił się, a po chwili odsunął łańcuch, otwierając drzwi szerzej.

— Do kogo? — mruknął, patrząc badawczo wodnitymi oczami na przybyśza. — Do pana Tola Szarleja — odpowiedział Jakub. Po każdym słowie z trudem rozlepił zapiekłe wargi i wpijał wzrok w jajowatą głowę, z różowym, zadartym nosem; człowiek, który stał przed nim w poplamionej kurtce ze spłowiałymi wypustkami, przez moment wydał się Jakubowi znajomy — jakby dawny sen po latach znów wyszedł mu naprzeciw.

— Tu pan Tolo nie mieszka — odparł służący z namaszczaniem — jesteście, że się tak wyrażę, bezdzietni moralnie. Niema tu czego szukać — westchnął, owiewając Jakuba powiewem alkoholu. — Czy on tutaj wcale nie przychodzi? — szepnął Jakub. — Rzadko — wyjaśnił służący. — Ostatni raz był cztery lata temu. Może spotkał go pan niedawno? — spytał ciszej przysuwając nos do twarzy Jakuba. — Nie — odpowiedział Jakub — jestem jego szkolnym kolegą, ostatni raz widziałem go przed wojną... — Spokojne były czasy — stwierdził służący, oglądając się za siebie. — Ale mój pan mnie wola.

Rzeczywiście, z pokojów rozległ się nieco skrzeczący, a zarazem jakby przyduszony głos, który zawałił dwukrotnie: — Kwiecień! — poczem rozszarpał się w kaszlu. — Życie nerwowe — zakończył służący i wychylił jeszcze raz nos przez półprzymknięte drzwi. — Niech pan uważa, mój Zenon kręci się tu dziś od rana. Ja sam schodzę mu z drogi, a co dopiero pan. Kiedy nie ma pieniędzy, własnego ojca obedrze. Lepiej zaraz stąd pójść gdzieś indziej. — Kwiecień! — wrzasnął po raz trzeci ochryply głos z pokoju. — Niech pan zmiata póki czas — szepnął służący i zatrzasnął drzwi.

Jakub chciał o coś jeszcze zapytać, ale już nie zdążył. Przez chwilę odczytywał listery na złotym sztyldzie przybitym do drzwi, a potem szepnął: — Dowiedzenia... — i powoli odwrócił się ku schodom. Dopiero wtedy spostrzegł, że o pół piętra niżej stoi młody człowiek w słomkowym, zsuniętym lekko z czoła kapeluszu, z pod którego wymykał się na skroń ondulowany pukiel. Patrzył na Jakuba chłodnym, wesołym wzrokiem, prawą dłonią opartą o poręcz. Po kil-

ku sekundach postawił nogę na stopniu i odstawiając w uśmiechu drobne, białe zęby. Powiedział: — Chodź bliżej.

Brak materiałów pędnych i zarządzenia niemieckie, rekwirujące pojazdy mechaniczne dla potrzeb wojennych, sprawiły, że samochód, jako środek prywatnego transportu, był w miastach okupowanych przez Niemców zjawiskiem dość rzadkim. W tym czasie na bulwarach Paryża widywano często — co potwierdziły fotografie w ilustrowanych pismach — zeszlowieczne breki, dokarty i wolanty, którymi praktyczni Francuzi zastąpili utracone auta w opustoszałych garażach. Po dziesiątkach lat na bruku europejskich stolic znów zadźwięczał tenent końskich kopyt.

Z tych samych powodów w Warszawie, obok dorożek, których ilość po wybuchu wojny wielokrotnie wzrosła, na czoło środków lokomocji wysunął się rower. Ponieważ był szybszy i tańszy niż dorożka, w drugim roku okupacji zaczął również zajmować miejsce nieistniejącej już wówczas taksówki. Ten nowy model roweru składał się z dwóch części: tylne koło, pedały i siodełko nie uległy zmianie, zato na przodzie pojawił się nowoczesny dwuosobowy fotel na kółkach, lekki, ruchomy i zwrotny; na jego oparciu trzymał ręce kierowca, nogami wprowadzając w ruch cały pojazd, nieścisłe zwany „rikszą”. Chiński, półnagi riksza ciągnie bowiem swój wehikuł, wprężony weń jak koń; natomiast jego warszawski kolega siedział na siodełku, pchając pasażera przed sobą. Ponieważ jednak w obydwu wypadkach przewóz odbywał się kosztem wysiłku ludzkich mięśni i płuc, nazwa, wskazując wspólne źródło energii, dość trafnie określa zjawisko. Można to było stwierdzić do niedawna, warszawskie riksze przeżyły wojnę o parę lat, ostatnia znikła w roku 1947; na ulicach wiodących pod górę pasażer czuł za plecami ciężki, wyczerpany oddech kierowcy, zgłębiony nad jego karkiem.

W latach okupacji rikszarze rekrutowali się przeważnie z młodych ludzi rozmaitego pochodzenia. Byli to robotnicy, uczniowie lub studenci, których wojna wyrzuciła na bruk w znaczeniu dosłownym, choć nie tak okrutnym, jakie wyraża powszechnie znana przysłowia. Niektórzy bowiem, zarabiając w ten sposób na życie, jednocześnie oddawali bezinteresowne usługi społeczeństwu: rikszarze często przewoźili nielegalną prasę i broń, a wielu z nich było członkami podziemnych organizacji, walczących o wolność narodu. Podobno w dniu zamachu na niemieckiego dyktarza w Warszawie przed jedną z kamienic, nieopodal rogu Chmielnej i Marszałkowskiej, zajeżdżała riksza; wysiadł z niej młody, skromnie ubrany człowiek z paczką w ręku; druga wniósł za nim do bramy sam rikszarz. W godzinę potem odbył się zamach. Jego uczestnik opowiadał po latach, że pasażer z paczką jest dziś posłem na Sejm, a rikszarz — dowódcą pułku.

O tej samej godzinie, gdy młodzieniec w słomkowym kapeluszu zaczął Jakuba na schodach, pięć wolnych rikszy oraz dwie dorożki czekały na postoju przed domem, w którym mieszkał Ksawery Szarlej. Południe było upalne, ruch na ulicach o tej porze zaczynał już słabnąć. W jednej z rikszy czterech kierowców grało w karty, piąty, w zielonej czapeczce zsunętej na tył głowy, spał z nogami przerzuconymi przez poręcz siedzenia, podpierając policzek czerwoną, grubą pięścią. W pewnym momencie rikszarz przerwał grę w karty i wszyscy czterej podnieśli głowy, patrząc w stronę pobliskiej bramy.

— Czego on chce od faceta? — mruknął jeden po chwili obserwacji. Drugi, ze spinakami we włosach, wyjaśnił: — Złapał Żyda i ściga z niego frak. Trzeci rikszarz stwierdził, że wobec tego robota jest łatwa, nie ma na co patrzeć. — Rozdaj karty — powiedział do czwartego, który grywał pestki, wypluwając je na bruk. Karty zostały rozdane, nie podjęli jednak gry, ponieważ scena przeniosła się z bramy na chodnik. Napadnięty prawdopodobnie chciał uciec w kierunku Nowego Świata, ale potknął się o próg bramy i upadł. Ledwie zdążył wstać z kolan, młodzieniec w słomkowym kapeluszu znowu miał go w rękach. Rikszarze zobaczyli jego palce wczepione w czarną, kudłatą głowę ofiary i usłyszeli jak cedzi przez zęby: — Daj forsę, mówię ci, guda! — Trzeci raz się nie wyrwie, nie znasz Zenka Kwietnia. Ku zdziwieniu rikszarzy napadnięty broniał się słabo; usiłując osłonić twarz przed uderzeniami, dał się prawie bez oporu z powrotem wpełznąć do bramy. — Krwawo! — mruknął rikszarz ze spinakami we włosach. Wtedy jego kolega w zielonej czapeczce, śpiący dotychczas w rikszy, obudził się, ziewnął i zmienił pozycję. Lecz zamiast znów zasnąć, poderwał się nagle i usiadł, czując wysuwając nos w stronę bramy. — Łatwa robota — powtórzył trzeci rikszarz — gość nawet nie gda! — Wchodzisz? — wskazał oczami kartv. Rik-

szarz w zielonej czapeczce, nie odrywając wzroku od bramy, uczynił ręką gest, znaczący: daj spokój — poczem obejrzał się ostrożnie za siebie, na gmach Komendy Policji i szybko zeskokczył na chodnik.

Jakub był już bardzo wyczerpany. Resztą sił próbował oderwać rękę Zenona, zaciśniętą na jego gardle. Nie umiał się skutecznie bronić, gdyż od chwili, kiedy służący zatrzasnął przed nim drzwi, wszystko co się po tym działo przyjął bez protestu, jako procedurę własnej śmierci. Twarz Zenona z jasnym puklem na skroni, jego zimny, błękitny wzrok, jakim powitał go na schodach, wydały się Jakubowi oczywiste; zrozumiał, że uśmiechnięty człowiek, stojący o kilka stopni niżej, jest funkcjonariuszem niewidzialnych sił, którym od początku ulegał jego los. Przez chwilę Jakub patrzył nań ze zmęczeniem, a potem, kiedy usłyszał głos Zenona, zeszedł posłusznie stopień po stopniu i zatrzymał się przy nim. Tam Zenon wyciągnął rękę z długim, ostrym paznokciem u małego palca i powiedział wesoło: — Pięć kawalków, trupie. — Jakub zaprzeczył, powoli kręcąc głową; szepnął, że nic nie ma. Wtedy otrzymał pierwsze uderzenie w policzek; zasłonił więc twarz ramieniem, przyciskając się do poręczy. Ale natychmiast poczuł drugi cios w skroń; nie był zbyt bolesny, Jakub zachował się tylko, przez głowę przeszła mu niejasna myśl, że widocznie tak się umiera. Nagle krzyknął z bólu: kopnięcie poniżej brzucha zgłębilo go w pół. Jakby zdaleka, słyszał teraz słowa Zenona: — Daj, co masz, bo załkuję; — ponieważ milczał, następne uderzenie rozkrwaawiło mu wargę. — Wówczas ostatkiem rozpaczony Jakub odepchnął jego rękę i zaczął uciekać. Lecz Zenon dopadł go w bramie. Pukiel mu się

zmiernił i opadł ze skroni, przykrywając brew.

Jak wiadomo, Jakub usiłował uciec po raz drugi — i tym razem daremnie. Kiedy Zenon przywłókił go z chodnika do bramy, osłabił całkiem — spiczasty paznokieć poranił mu szyję. Po chwili jednak Zenon przestał go bić. Puścił gardło Jakuba i zapalił papierosa. — Jeżeli nie masz forsę — powiedział spokojnie — to wszystko w porządku. Nie znasz Zenka Kwietnia. Pójdźmy razem na Komendę. — Dobrze — szepnął Jakub, czując ulgę na myśl, że nikt już nie zażąda od niego przed śmiercią rzeczy niemożliwych. Poprosił Zenona, aby go tam zaprowadził jak najprędzej. Zenon zgodził się i dodał, że poczekają aż wypali. Był pewnie także zmęczony. Stał plecami do bramy i wypuszczając dym w zgrabnych kółkach, patrzył na Jakuba swoim niebieskim wzrokiem spod cienkich łuków brwi. Jakub pomyślał, że chociaż Zenon rozkrwaawił mu twarz, łatwiej będzie iść na policję z nim razem, niż samemu. Była to osobliwa myśl: ludzie torturowani na ulicy Szucha opowiadali później, że między dręczycielem a ofiarą rodzi się z czasem szczególna bliskość; — co do mnie jednak, wolałbym nie zgłębiać jej przyczyn i natury.

Właśnie w tym momencie w bramie rozległy się kroki od strony ulicy. Zenon zerwał za siebie, poczem tracił Jakuba w ramie i powiedział: — Chodź. Ale Jakub nie poruszył się; nagle przyglądał do ściany, i jakby nie słysząc głosu Zenona, patrzył rozszerzonymi oczyma w człowieka, który nadchodził. — Mówię ci: chodź — powiedział Zenon i znowu podniósł rękę.

Lecz za jego plecami stał już rikszarz w zielonej czapeczce; zmrużywszy oko do Jakuba, powiedział życzliwie: — Ręka niżej,

panie hrabio — ujawniając przy tych słowach brak dwóch przednich zębów, czego efekt dał się poznać po chwili, gdy dodał: — Tylko szpokoynie...

Wtedy Zenon opuścił rękę i odwrócił się ku niemu. — Czego chcesz — warknął, zsuwając kapelusz jeszcze bardziej z czoła. — Rikszarz poprawił czapeczkę i odparł, że chce porozmawiać. — We trójkę — wyjaśnił, wskazując spojrzeniem Jakuba — to mój kolega. Tam — skinął głową w stronę chodnika — także koledy. Więc powiadam — zakończył powoli — lepiej szpokoynie.

Keszta wypadków rozegrała się nadszycaj szybko. Jakub, który przez czas rozmowy stał obok w osłupieniu, rozpiaszczając z sobą spotniałe ręce o ścianę, nie mógł później odtworzyć w pamięci kolejności faktów. Poprostu: nagle usłyszał głuchy odgłos; w tej samej sekundzie zobaczył pod nogami zwinięte ciało Zenona i słomkowy kapelusz, tocący się po ziemi; jednocześnie poczuł, że czyjaś dłoń popchnęła go naprzód w kierunku ulicy. — Czapka! — zawołał ktoś blisko niego w ogólnym tupocie; na głowę spadł mu miękki, szorstki przedmiot — zrozumiał, że powinien go wcisnąć głęboko na oczy. Po lewej ręce zbliżyło się dzwonienie tramwaju. — Prędkiej! — naglił zdyszany głos; inny głos krzyczał z bramy. Jakub znowu został popchnięty, stracił równowagę, czapka zsunęła mu się na brwi, w chwilę potem spojrzał szary asfalt, uciekający z pod jego nóg; wreszcie uderzył go w piersi mocny pęd powietrza. — Trzymaj się poręczy! — usłyszał rozkaz z nad głowy. — Obożna!

Spadał teraz na dół w kierunku Powiśla. (dokończenie nastąpi)  
Kazimierz Brandys

MARIUSZ MARGAL

## GRUDZIEŃ PARYSKI 1947 r.

**B**URDEL NA RUE HUCHETTE został zamknięty jeszcze w zeszłym roku, kiedy uchwała Zgromadzenia Narodowego „Les maisons de tolerance” zamieniły się w „maisons des étudiants”. Gruba madame patronne ze złośliwym uśmiechem witała swych nowych lokatorów i szarym papierem zalepiała nagie nimfy hasające na tle karmelkowej natury dla zadowolenia gości. Po krótkich wąskich schodach studenci wciągali na piętra swe walizki, i wnosili je do pokoiów, w których oświetlenie tworzyło rozmarzające nastroje i psuło oczy. Madame patronne przechodziła obok swych lokatorów z wyniosłą urozoną miną, obgadująca ich przed konsjerżką z sąsiedniej kamienicy i psociła na komunistów, którzy podał projekt tej przekłętnej ustawy. Oczywiście, że głosowała na de Gaulle’a.

Według ustawy nagie nimfy powinny były zostać zamalowane, ale madame patronne nie myśli już nawet o zmianie popstrzonego przez muchy papieru, przez który przeświecają olejne uda i przybrzdzone piersi, bo nie po to głosowała na generała. Studenci uczą się spokojnie medycyny lub chemii, rozmawiają o egzaminach lub tańcówkach i twierdzą, że ich nie obchodzi polityka.

Polityka nie interesuje się jeszcze 30% Francuzów. Podczas wyborów nie idą do urn, a potem dziwią się dlaczego strajkuje metro, listonosze nie roznoszą poczty, śmieciarze nie sprzątaj śmieci, dlaczego nie kursują normalnie pociągi, nie pracuje należycie elektrownia a przed piekarniami tworzą się długie kolejki.

Z rue Huchette wychława się na półtora metra szeroki wyłom zaułka. Przez jego środek płynnie śmierzając pleśniejąca rytnok, słaba latarnia gazowa oświetla odarte z tynku mury, strajkowy afisz, jakieś uparte NON z czasów pierwszego referendum i tabliczkę z nazwą: RUE DU CHAT QUI PECHE. Grupa dzieci bawi się jeszcze przy ścieku, pochylona nad wspaniałe wielkim ciałem zdechłego szczura, od którego się nie może oderwać. Mają naprawdę uciechę, bo tak wielkie szczury nie zdychają zbyt często.

Kilka kroków dalej starusienki Saint Julien-le Pauvre, który pamięta jeszcze czasy pierwszych kapetyngów, pusty plac w miejscu, gdzie się dziś wznosi Sorbona i bezskuteczną walkę „profesores” z „étudiantes”, studentkami, jak nazywano wówczas owe dziewczęta, które przeskazywały w nauce studentom. Po drugiej stronie Sekwany Notre Dame, tuż koło nas wciągnięty w szarość pochylonych domów przedwzrostki gotycki Saint-Severin. Dzieci porzucały już szczurą i rozbiegły się do domów. Tu rodziła się kultura Europy.

Obok jest algierska kawiarnia o frontie wymalowanym jak meczet w Kordobie. Zza zasłoniętych różowymi firankami okien dochodzą piszące dźwięki pseudoarabskiej muzyki i stały półszmer. Przed drzwiami portier w czerwonym fezie zaprasza na kus-kus i inne algierskie przysmaki. Spod napisu NON odrywa się kobiece ciele zespólony dotąd z murem: „Pójdźmy?” Na ulicy cuchnie. Przed grudzieńskimi kamienicami rosną kupy śmieci i odpadków, które w młym oświetleniu gazowej latarni nabierają plastyczności i budzą lęk. Właśnie trwa strajk śmieciarzy i gazety pisa, że służbę oczyszczania miasta przejęło na czas strajku wojsko. Tak, na wielkich bulwarach, w dzielnicy Passy i Trocadero śmie-

cie zbierają już żołnierze, ale to tutaj rodziła się kultura Europy.

Trzy lata temu, 19 sierpnia 1944 roku, padł tu strażnik pokoju, Ferdinand Poulain, lat 23. Przed witryną baru „Pod dzwonnica Notre Dame” zginał za Francję, wolność, równość i braterstwo. Kiedy patron otwiera okiennice, tabliczka zostaje zasłonięta i nie wiadomo kto padł i za co. Widać tylko krzyż lotaryński i wielki napis białą farbą na odsoniętej szybie: Vin rouge 80 fr, vin blanc 70 fr, Calvados vieux 350 fr. We Francji jest wiele gatunków wina. Bistro jest oświetlone niebieskoszarym neonowym światłem, za ladą, na półkach, każde wolne miejsce wypełnione jest butelką rumu lub likierem, nad ladą wisi napis, że płaci się przy zamawianiu, a przed ladą tłoczy się ludzie, którzy nie zamawiają butelek. Nad ladą wisi jeszcze napis, że kto prosi o kredyty nie zasługuje na szacunek, ale ci ludzie zasługują widać na szacunek, bo na kredyt patron nie wypełni tych wszystkich beczek, które stoją pod oknem i służą za łożę grubemu muryznowi w okularach, przybytemu tu aż spod Brazaville, kiedy był jeszcze młody i chciał poznać cywilizację białych. Ale to już jest stara historia, dziś już zna cywilizację białych. Przez sen majaczy, że on budował w Brazaville pałace, w których jest widno i ciepło, a u niego w pokoju jest ciemno i zimno. Zresztą nic dziwnego, bo to już listopad się kończy, znał Sekwany wieje mroźny, przenikliwy wiatr, a do Francji nie przychodził węgiew z Ruhry. Murzyn przeskadał trzem grającym w karty, którzy ulokowali się na sąsiedniej beczce i patrzają na niego ze złością, bo to mrużenie nie pozwala im się skupić, a grają o aperitif. Zniszczona kobyleta o bardzo zwisających piersiach i włosach jak sznurki, które zakrywają jej twarz, odwołuje jednego z grających, bo ktoś wrzucił franka do automatu i trzeba wykorystać ten chryplywy słowfox o miłości tymbardziej, że za kilka dni automat przerobią i jedna melodia będzie kosztowała dwa franki a może i trzy. W drugim końcu lady umalowana baba trzęsie swolm tłuszcem i nalewa wino przystuchując się rozmowie między nieogolonym kuternoga, który twierdzi, że im wszystkim trzeba rozbić mordy, dwoma algierczykami, którzy handlują dywanami i uważają, że jest bardzo źle, i trzema mężczyznami, z których jeden jest napewno śmieciarzem, bo śmierzdzi wylzewami paryskich śmietników i jest zrosnięty z brudem. Wszyscy zgodnie potakują, że tak dalej być nie może i piją wino szybkimi łykami. Na ladzie drzemie zwinięty w kłębek czarny jak smoła kot.

Tygodniki zajmują się ostatnio statystyką, oni nie czytają tygodników, ale znają z własnej praktyki rzeczywisty obraz statystycznych cyfr. Dwie krzywe — plac i cen — oddają się od siebie coraz śpieszniej i choć oni, w barze „Pod dzwonnica Notre Dame” nie znają tych danych, że w kwietniu 1945 r. wskaźniki plac i cen wynosiły 314 i 325, w kwietniu 1946 r. już 395 i 496, w kwietniu 1947 roku 543 i 837. A dziś 651 i 1336, to jednak czują te cyfry, bo między tymi uciekającymi od siebie wykresami zawiera się ich życie.

Bezwzględnie, że jest źle. Robotnicy protestują strajkami, ale według nowego prawa strajki będą ograniczone, częściowo traktowane jako sabotaż, a ich uczestników i organizatorów czeka kara do 10 lat więzienia, to jest tyle właśnie na ile został skazany Xavier Val-

lant, komisarz dla spraw żydowskich w rządzie Vichy, który ma na sumieniu kilkadziesiąt tysięcy ludzkich żyć.

Kuternoga zdobył swoją proteżę w maquis, gdy walczył przeciw boszom i tłumaczył teraz dwom algierczykom, śmieciarzowi i tym dwóm pozostałym, dlaczego w Marsylii, choć komuniści uzyskali większość głosów, merem został członek RPF, dlaczego w Havrze, choć komuniści uzyskali większość, merem został członek RPF, dlaczego w dziesiątkach miast i miasteczek francuskich, gdzie komuniści zdobyli większość, w radzie miejskiej nie ma ani jednego komunisty. Kuternoga rozkłada plachtę „Ce soir”, wywija ją jedną stroną gazety, która wygląda jak plakat, bo we Francji wprowadzono ograniczenia papierowe i pokazuje cyfry. Komuniści — 13 wyborców, RPF — 7, SFIO — 4, MRP — 3. We Francji wybory są pośrednie. Ludność Havru zaufała komunistom. Ale 7 plus 4 plus 3 dają 14 więc rada miejska Havru jest gaudistowska, bo komuniści dysponowali tylko trzynastoma głosami. Gdzie indziej przy większości bezwzględnej komunistów rada miejska zjednoczonymi głosami prawicy (stojącej się w ręce socjalistów, radykałów lub MRP, choć nie im zaufała w głosowaniu powszechnym lud. Kuternoga nie umie tylko wytłumaczyć dlaczego partia, która wydała kiedyś Jaurès’a idzie dziś ręką w rękę ze zjednoczoną wokół generała prawicą która popiera odrodzenie Niemiec, (a on w walce z Niemcami stracił nogę i w walce z Niemcami zginał strażnik pokoju, Ferdinand Poulain, lat 23), ale tu we Francji wprostych rzeczy ma bardzo skomplikowany wygląd i dziwne nazwy. Teraz to się nazywa „trzecia siła”, ale to jest wciąż ta sama siła i wciąż ta sama taktyka. Nadchodzi patron i nie rozumie dlaczego kuternoga się denerwuje, nie wie komu on chce rozbić mordy i wzrusza ramionami, że się nie rozumie na polityce. Patron chce żyć spokojnie, inkasować pieniądze przy zamawianiu i pić ludzi kwaśnym algierskim winem, którego też nie ma dosyć.

Nagle zgąsto światło i patron zapalił dwie lampy karbidowe, które stały już przygotowane na kontuarze. W oknach sąsiednich domów zaczęły się stopniowo pojawiać migocące światła, trzej mężczyźni zebrałi karty i wstali hałaśliwie z beczki, buńcząc murzyną. Paryż pograżał się w ciemności, w wielkich zakładach energetycznych w Issy trwał strajk. Turbiny jeszcze szły uruchamiane przez tamstrajków, na których oparł się rząd w akcji rozbijania CGT, ale już prąd przerywano coraz częściej i na coraz dłużej. Elektrownię obsadziło wojsko, okupujących ją robotników siłą usunęła policja.

Policja usuwała strajkujących z dworców i fabryk i to się nazywało ewakuacją miejsc pracy. Robotnicy stawiali opór i byli ofiary. Ofiar byłoby więcej, ale żołnierze odmawiali strzelania do ludu. Przecież gdy nazwał to postępowanie patriotycznym i republikańskim i pochwalili takie stanowisko wojska poseł komunistyczny, Raoul Calas, oficer Legii Honorowej, posiadacz Krzyża Walecznych i Medalu Ruchu Oporu, zasądzony na śmierć przez Vichy, Zgromadzenie Narodowe odebrało mu mandat pochodzący z woli ludu, bo 27 marca dziennie stwierdziło, że Calas nawołuje do rewolucji i zlekko się słów Calasa.

Z rzadka w ciemności zaułków wdierało się jaskrawe światło jadącego ostrożnie auta,



Paryż tonął w ciemności, Paryż jest sercem Francji, walka toczyła się wszędzie. Generali milczeli od czasu ostatnich wyborów, które rozgromiły wszystkie partie francuskiej prawicy i na ich szczątkach stworzyły potężne RPF, rząd siłą i propagandą usiłował złamać strajki, półtora miliona robotników walczyło o Francję. Sekretarz RPF oświadczył, że generali przyjmie władzę tylko na prośbę ludu. Lud krwawił. Po raz pierwszy w historii czwartej republiki skonfiskowano całkowicie nakłady pism. „L'Humanité” i „Ce soir” za głośno były na alarm.

Paryż tonął w ciemności. Prezydentem miasta został Pierre de Gaulle, człowiek wielkiego kapitału. Na bracie można polegać, kto ma Paryż ma Francję. Zmarł Puzzuoli pobity podczas manifestacji komunistycznej w sali Wagram, zostali zabici dwaj kolejarze strajkujący w Valence, przed domem Maurice Thoreza wybuchła bomba. W Cholsy-le-roi podpalono lokal Związku Francuskiej Młodzieży Republikańskiej, UJRF. W Greusot zdemolowano lokal miejscowej sekcji Partii komunistycznej. W Vichy rzucono granat w siedzibę tamtejszego oddziału partii. W Paryżu wybito szyby w lokalu organizacji France-URSS. W Saint Sulpice rzucono bombę w kilkudziesięciu tłum zebrany na mityngu. O tym wszystkim gazety nie pisały. Generali milczeli, do Francji przybył John Forster Dulles. Przy Neapolu, Oranie, Livorno flota amerykańska urządziła manewry, lecąc na nie zginął w katastrofie samolotowej generał Leclerc, który wyzwolił Paryż. Na placu Hotel de Ville pobito wczoraj manifestujących strajkujących, jutro plac otrzyma nową nazwę, nad Sekwaną stanie nowy pomnik. W pałacu Inwalidów spoczęły prochy tego, który wydarł Paryż faszystom. Francja żegnała Leclerca.

„Przyjechałem osobście zobaczyć wspaniały wysiłek narodu francuskiego w walce z penetracją zagranicy...” Francja witała Johna Forstera Dullesa, który siebie nie uważa za przybysza z zagranicy. Generali czeka i milczy. Zabierze głos, gdy się skończą strajki i wyjaśni sytuacja, narazie niech mówi Schuman. Deficyt skarbu państwa przekroczył trzechsetny miliard.

John Forster Dulles spotkał się z generałem Schumanem i Blumem i twierdzi, że nie uważa partii komunistycznej za partię francuską, tak samo jak twierdził to Niemcy, gdy rozdziali jej szeregi, bo walczyła o wolność. Na torach Francji wykojeją się pociągi, są zabici i ranni, sprawy są nieuchwytni, tak jak nieuchwytni byli podpalacze zbiorów po tegorocznych żniwach. „Błękitny plan” pokrywa się kurczem w ministerialnych archiwach, które wspomina dziś spisek sprzed sześciu miesięcy? Zboże odkupi się w Ameryce, maszyny odkupi się w Ameryce, Ameryka przyśle zamiast zniszczonych nowo lokomotywy i wagony, któż wskaże właściwych sprawców sabotażów? John Forster Dulles jest we Francji, rząd Francji przerywa rokowania handlowe z Rosją i wydalą obywateli radzieckich, kto pamięta, że Rosja jest państwem alianckim?

Kilka kroków od baru „Pod dzwonnicy Notre Dame” jest przystanek autobusowy. Pod murem drzemie jakiś brodaty żebrak wtulony w lachmatniastą marynarkę. Grupa chłopców i dziewcząt nie zwraca uwagi na żebraka, czeka na autobus 67, który jedzie na plac Pigalle. Na placu Pigalle można zapomnieć o wszystkich sprawach dnia dzisiejszego, na placu Pigalle wzdłuż bulwaru Clichy i Batignolle aż po metro Rome ciągnie się rząd bud cyrkowych, gdzie można zobaczyć najpiękniejsze kobiety świata, przejechać się elektrycznymi samochodzikami, zostać sfotografowanym, jeśli się celnie strzeli w automat. Można z towarzyszką wjechać w ciemną krainę duchów, przejechać się kolejką górską i usłyszeć przepowiednie na przyszłość od Rachelle Max. Wszystko kosztuje dziesięć franków, a Rachelle Max zaprowadziła automatyzację wróżb — wróż dziesięć franków, powiedz imię i datę urodzenia i natóż słuchawkę na uszy — poznasz swoją przyszłość. Można i osobiście, ale kosztuje drożej. Autobusy chodzą dziś normalnie, zaraz przyjdzie 67, żebrak wciąż drzemie pod murem.

Rok temu, 17 grudnia 1946, pisałem w 49 numerze „Kuźnicy”, że we Francji nie będzie Sulejówka. We Francji nie ma Sulejówka. We Francji kończy się tylko teraz rok 1932, już powstał rząd Papena i już Ameryka liczy, ile tu posiada kapitalistów, których jej przecież nie wolno utracić. Jeszcze czerwony jest kraj, jeszcze komuniści są jego pierwszą partią, jeszcze milczy generał, jeszcze się kręci karuzela na placu Pigalle.

Rachelle Max, czy potrafisz wywróżyć przyszłość Francji?

Mariusz Margala.

### TREŚĆ NR 3:

Włodzimierz Sokorski — Problem literatury; Seweryn Pollak — Teatry i ludzie; Roger Vailland — Koniec awangardy; Georg Lukacs — Powieść jako mieszczańska epopea (III); Aleksander Wat — \* \* \*; Czesław Bielski — Stendhal po raz pierwszy; Kazimierz Brandys — Samson (III); Jacek Bocheński — Ogród (II); Kajetan Kotowicz — Trąba Archaniola i sandacz; Adolf Sowiński — Poczta Lucjana Szenwalda; Juliusz Żuławski — Rzecz o wolności; Stefan Żółkiewski — Nad klasykami; Korespondencja; Przegląd Prasy; Noty.

MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA

## O POEZJI STANISŁAWA PIĘTAKA<sup>\*)</sup>

TOM WIERSZY wybranych Stanisława Piętaka „Dom Rodzinny” obejmuje całą twórczość poety aż do chwili obecnej.

Przy lekturze tego rodzaju ujęcie głównych linii poetyckich przemian, pozwala określić kształt i rodzaj omawianej twórczości.

Stanisław Piętał debiutuje w okresie dwudziestolecia, który w Polsce zaznaczył się wyraźnym rysunkiem — z jednej strony hulaśliwej, witalistycznej liryki Skamadra, z drugiej eksperymentatorskimi próbami Awangardy.

Poezja Piętaka najwcześniejszego okresu — eksperymentatorska i niejednolita, jest jednak śmiałym, wytrwałym wybiciem ze stylu i mody epoki własnego poetyckiego słowa. Przechadźki po bezdrożach smutku, nad „przepaściami zwątpień”, wśród cieni, złych snów, widm śmierci — ten cały bagaż pesymizmu i melancholii rozsada chęć wyzwolenia się, uzyskania mocnej i opanowanej postawy.

Umiar, jaki cechuje Piętaka w doborze i stosowaniu środków techniki pisarskiej, nie pozwala przekroczyć mu linii, poza którą przyciągał uśmiech przemijającej mody. Wiersze z okresu 32, 33, 34 r., pomimo niejednorodności, niezdecydowania kształtu są już wypowiedzia określonego typu twórczości. Wypełnia je romantyzująca uczuciowość. Tematem ich są własne przeżycia poety związane z życiem na wsi.

Poeta samotny, niezrozumiany, nie szuka jeszcze wtedy słów porozumienia z otaczającym go światem. Poezja jego to spowiedź — żalona, rozgłaszająca siebie, skarga człowieka zblakłego, obcego sprawom, które go otaczają. To uczucie do rzeczywistości sennie, marzenia — które pozwala modelować się tutaj, chociaż jest tak nietrwałe. Przeżycie, obraz poetycki na nieodłącznym tle przyrody ma już w tym okresie akcenty realizmu, który przebija się przez mgły, cienie i wszystkie niespodzianki w jakie obfituje klimat głębokiej melancholii.

W jednym z wczesnych wierszy pt. „Dzień z igiel” („Głód”) poeta pisze:

„Siostra pokaleczyła spojrzaniem zachód,  
sina obrączka jej ust zaklinała,  
aż wstydziło się słońce usiąść na jej głod-  
nych rękach.  
Cóż, że brat odszedł, by w poduszkę wypła-  
kać swój bunt?  
Nadarłem kwiecica na akacjach  
nazbierałem po miedzach szczawiu chyba  
z funt.

Ktulo mnie w oczach  
czarne oblicze, szatani, czarne psy.  
Nikt nie wyjął spod drżących warg  
płomienia udręki.”

W tym wierszu udaje się poecie wydobyć, podobnie jak to uczynił Rimbaud w „Uczucie głodu” — silne, wstrząsające przeżycie, chociaż słowa są najprostsze:

„Gdy m siedi szukając coby zjeść  
na bagnie lśniły kwiaty, złotoczerwone  
kwiatuszki,  
żeby tak móc je w skibki chleba zmienić—.”

Nurt impresjonistycznego widzenia, obecny już w pierwszych utworach Piętaka, przybiera na sile w jego liryce wojennej.

Od sennego wizjonerstwa, od przymglonych obrazów ludzi i przyrody w pierwszym okresie twórczości, stopniowo przechodzi poeta do opanowanego, uważnego spojrzenia, wyzwała się z atmosfery snu i metafizycznych leków. Wyraźne jest oczyszczenie poetyckiej materii, w której przedtem można było znaleźć nierozpuszczalną metaforę i zagubione słowo.

Z lirycznymi wyznaniem mieszają się czasem obrazki z życia wsi. („Dzień letni”, „Zmierzch nadchodzi”, „Upał”). Ale i wtedy widzenie poety dość daleko odbiega od normalnego:

„Zrebał, gdy przed tęczą ukłękł biały,  
nad staw odeszły kobiety śmiechu cieniem.”  
czytamy w wierszu „Upał”.

We fragmentach epickich perspektywę w głąb, którą autor osiągał w liryce, stara się uzyskać metaforą, zestawieniem, niespokojną przenośnią — jednak nie zawsze mu się to udaje.

Charakterystyczną wypowiedź poety znajdujemy w ostatniej strofie wiersza pt. „Na ślub siostry”:

„Tuliście chłopca, bo na jego oczy  
w gorączce schodziły gwiazdy i zwierzęta.  
Znak,  
że na usta dźwięki chylił prorocy.  
Wyrostem i sobie daleki jak psalm.”

\*) Stanisław Piętał „Dom Rodzinny” — Kraków — 1947. Wydawnictwo Oddziału Wiejskiego Związku Literatów Polskich.



Stanisław Piętał

Poezja uczucia — można by tak w przybliżeniu określić poezję Piętaka. Skłonność do smutku, melancholii, dziecięca wrażliwość — oto jej cechy. Nie znajdujemy tam chłodnego, surowego opisu, i pozaosobowej refleksji. Uderza ona bezpośredniością wyznania.

Wśród wierszy Piętaka znaleźliśmy wiele takich, nad którymi warto się zatrzymać. Są w nich elementy wspólnych, powszechnych odczuć.

Tu trzeba zaznaczyć nawiasem, że Piętał przechodząc do prozy nie potrafił się wyrzec czułych narzędzi pisarskich liryka. Właśnie fragmenty liryczne — podobnie jak w twórczości poetyckiej — stanowią najlepsze artystycznie partie jego prozy („Młodość Jasia Kunefajala”, „Białowiejskie noce”).

Niezwykle silny jest w tej poezji związek ze środowiskiem wsi — określa skalę jej tematyki, kształtuje ją w poetyckie obrazy. Oplotki wsi rodzinnej są horyzontem, poza który poeta wyjść nie usiłuje, z wyjątkiem okresu wojny, ale i tu jak zraniony ptak wraca spowrotem do rodzinnego gniazda:

„Idę jakbym krwią dotykał okopów.  
Sterane twarze sandomierskich chłopów  
Łaski u idącego zebrają mroku.  
Gwiazda spada jak łza, gaśnie w ich oku.  
Kiedy wrócimy? pytają, na swoje?  
Głód, zimno, pomoru się boje.  
Im trzeba dotyku ich chat, ich ziemi.  
Pocóż ludzi ich słowami nędznymi!”

Przywiązanie do rodzinnego domu, czego wyrazem jest tytuł zbioru, ujawnia się w uczuciu miłości dla matki szczególnie, czułości dla siostry i stałym wykorzystywaniu pejzażu wsi jako tła. Nic dziwnego. Instytucja rodziny jest najsilniejszą więzią społeczną środowiska wiejskiego — przez tradycję, religię, warunki ekonomiczne i zwyczajowe.

Szukając podobnie brzmiącego głosu o wsi w dziełach poezji — nie podobna się oprzeć zestawieniu wierszy Piętaka z liryką Jesienina. I u niego znajdziemy głęboki związek z ziemią, krajobrazem wsi, silne przywiązanie do rodzinnego domu.

Różnica leży w programowym nowatorstwie Jesienina i bogatszej skali środków jego poezji. Jest ona poza tym wyraźniej ugruntowana społecznie, szersza w tematyce.

Ludowość poezji Piętaka ściąga ściśle zamkniętym kręgiem tematyki, tkwiącej głęboko w życiu wsi, jej obyczajowości, zwyczajów, sentymentalizmie, ludowej pieśni, jest podkreślona doбором rekwizytów poetyckich, czerpanych wyłącznie z wiejskiego środowiska. Brak tu naleciałości kultury antycznej, klasycznej konwencji, literackiego zdobnictwa. Ciekawe jest zamaskowanie się, odrzucenie własnej pozycji społecznej, całego balastu kultury, gdy chodzi o wypowiedzenie się w wierszu. Wwobraźnia określona jest ściśle i mocno środowiskiem wiejskim. Jednak w tym wąskim skrawku ukazywanego świata, tkwi poeta bardzo silnie, bez pozwy i teatralnego gestu. Można mu wierzyć.

Na jaką siłę i prawdę wyrazu stał Piętał, świadczy ten choćby, jeden z najpiękniejszych w tomie wierszy:

### PO LEKTURZE

„Przeczytałem matce moich strof kilka,  
a ona zbladła nagle i w milczeniu  
stała. Z rąk wypadła jej złota szpilka  
na promień. Łzy rosły, lecz nie w marzeniu

Wspominam sobie — rzekła — czasy dawne  
Co to jest? Jakbym była wśród nich  
wczoraj,  
idę i widzę wszystko młode, ładne.  
Umre chyba — już takam stała, chora...”

Ano tam w niebie nie pewnego nie ma.  
Ja też muszę się na te słowa zgodzić.  
Dlatego droga jest nam ziemia.  
W samej rzeczy po co się człowiek rodzi?

Więc i ty? — i ty? — w drzeniu pomyślałem  
i tulać jęć, odszedłem w ogród biały.”

Ten urodzony liryk raz po raz, jakby na przekór sobie, przeczeka się do epiki.

Na krótko przed wojną pojawiły się w naszej poezji próby nawiązania do form romantycznego poematu. Znajdziemy kilka takich poematów u Piętaka: „Zdrada”, „Pomór”, „Pożegnanie żołnierza”, „Wesele”, „Zbieg” — wszystkie osnute na tle życia wsi.

Epika w nowej poezji, a zwłaszcza określona formą poematu jest zawsze próbą ożywienia martwych kształtów poetyckich. Łączy się to zjawisko ze sprawą czasu literackiego. Inny jest czas prozy, inny poezji. Poezja dąży do skrócenia czasu, do wykorzystania go jak najpełniej. Więcej swobody w organizowaniu go ma proza. Siła poezji leży w natężeniu harmonii poszczególnych elementów, rozłożona na drobniejsze — słabnie.

Piętał, przechodząc do formy poematu, przetransponowanej z dawnych wzorów, waha się między kształtem luźno zorganizowanej narracji a formą regularnego wiersza.

Od ludowej stylizacji udratyzowanej piosenki — do realistycznej opowieści zmienia się wnętrze jego poematów. Od bezpośredniej osobistej wypowiedzi do zobiektywizowanego opisu.

Jeszcze jedna późniejsza próba poematu z okresu wojny pt. „Bitwa” jest, według mnie, artystycznie najpełniejszym osiągnięciem. Zarzeczona została tu jednolita konstrukcja poematu. Poszczególne części powiązane są tylko tematem ogólnym — wojny i stanowią pełne, skończone jednostki poetyckie: „Wstęp”, „Pieśń Matki”, „Pieśń dziecka”, „Pieśń poety”.

Nawiązanie do wielkiej tradycji literackiej — to zagadnienie niesłychanie ważne w poezji, a zwłaszcza w poezji ludowej.

Podczas gdy twórczość tzw. samorodnych poetów wskazuje na niepokojące zjawisko sięgania do wzorów Młodej Polski, bezwzględnie złej szkoły poezji z jej fałszywą ludowością, u Piętaka można odnaleźć ślady wpływów romantyzmu. Lubowanie się w barwach ostrych, zmianie światła, blaskach, ruchu, przypomina trochę światłoczuły typ wyobraźni Słowackiego („Burza śnieżna”, „Naręczona”).

Świat-wizjonerstwa, tak charakterystyczny dla Słowackiego, wraca u Piętaka w częstych motywach snu, marzenia, chorobliwych wyobrażeń. Miłość — częsty temat jego poezji, nosi romantyczny odcień. Przedmiot jej zostaje wyidealizowany, oczyszczony z ziemskości, ustawiony na tle gwiazdzistej nocy, wody, błękitu.

Podobieństwo jeszcze głębsze leży w postawie wobec życia — błąkaniu się w labiryncie własnych smutków, częstej skardze, buncie, rozpacz, egocentryzmie.

Liryka wojenna Piętaka czy to na skutek niemożności objęcia całokształtu zjawisk wojny, czy specjalnego typu wrażliwości artystycznej, jaką reprezentuje poeta, brzmi nieśmiało i słabiej w porównaniu do przedwojennej.

Kiedy szukamy cech znamiennych dla ostatnich przeobrażeń poetyckich Piętaka — uderza nawiązanie do tematyki społeczno-politycznej. Poeta umiejscawia swoją poezję w czasie historycznym i w społeczeństwie. Cierpienie, smutek, rozpacz usprawiedliwione są w tej liryce powszechnością ich podczas wojny. Nie wiedzie już poeta walki z cieniami i snem. Los ludzki ważniejszy, bardziej natarczywy staje przed nim. Nie każdy mógł wtedy zdobyć się na słowa, jakie znajdujemy w jednym z wierszy Piętaka z tego okresu:

„Wierzę, że na przekór zbrodni przyjdzie  
czas  
w którym ludzie zgodni, szczęśliwi żyć  
będą.”

Ale nie w powadze moralnej podobnych temu wierszowi wypowiedzi tkwi siła liryki Piętaka.

Już Ludwik Fryde, jeden z pierwszych krytyków, którzy zastanawiali się nad fenomenem, jakim niewątpliwie jest twórczość tego poety, widział siłę jej i urok w zdolności przenoszenia spraw realnych w krainę wizji. Szepcane na granicy między snem i jawą wiersze Piętaka, wiersze drzące od niekłamnego wzruszenia, wnoszą do liryki polskiej lat ostatnich ton nowy i przejmujący.

Mieczysława Buczkówna

### CHCESZ OTRZYMYWAĆ „KUŹNICĘ”

#### REGULARNIEJ I TANIEJ

#### NIŻ W SPRZEDAŻY ULICZNEJ?

#### Z A P R E N U M E R U J A

Z dniem 15.1.48 roku cenę pojedynczego numeru pisma zmuszeni byliśmy podnieść z Zł 20 na Zł 25.—

ale warunki prenumeraty zostały niezmiernie i wynoszą nadal Zł 80.— mies., a Zł 240.— kwartalnie, co daje w ciągu roku **OSZCZĘDNOŚĆ ZŁ 340.—** i gwarancję regularnego otrzymywania pisma

EWA KORZENIEWSKA

## NA MARGINESIE KSIĄŻKI ZAWODZIŃSKIEGO \*)



K. W. Zawodziński

„Stulecie Trójcy Powieściopisarzy” jest książką niezwykle symptomatyczną w naszym powojennym dorobku literackim. Odbiły się w niej, trochę jak w krzywym zwierciadle, wszystkie mniej lub bardziej usprawiedliwione tendencje powojennej krytyki literackiej. Właśnie krytyka a nie nauka o literaturze; Zawodziński bowiem gromadzi w tym utworze swe artykuły, opracowane w sposób publicystyczny i mające wyraźny charakter recenzji krytycznych.

Ta metoda zbliżania dzieł dawniejszych i ustalania wobec nich nowego, dzisiejszego stosunku jest obecnie szeroko stosowana. Może ona oddać w przyszłości, zwłaszcza gdy postara się o pomoc u historyków literatury wielkie usługi w ustalaniu nowej, ważnej dla obecnej rzeczywistości, hierarchii utworów literackich. W tej chwili jest czasem trafnym i rzucającym na wielki snop jasnego światła weirzeniem, kiedy indziej gubi się niezorientowanie w nowej problematyce i dochodzi do nieusprawiedliwionych wniosków.

Symptomatyczność książki Zawodzińskiego polega nie tylko na tym. Jest ona zjawiskiem typowym także z powodu zajęcia się właśnie pozytywistami, do których w tej chwili przynajmniej się chętnie, jako do protoplastów naszej obecnej rzeczywistości literackiej i których właśnie dlatego chcielibyśmy sprawiedliwie ocenić. Sprawiedliwość nie jest sprawą prostą ani łatwą. Stąd obawa przed zbyt bezkrytycznym uwielbieniem, stąd także rodzi się tendencja rewizjonistyczna, która, i w imię sprawiedliwości, co jest słuszne, ale czasem i w imię źle rozumianych potrzeb chwili obecnej, stara się za wszelką cenę ustalić nową hierarchię wartości i nowy stosunek do twórcy i dzieła. Wszystkie te „stylmaty” czasu nosi książka Zawodzińskiego.

Czasem jakże drobny szczegół prowadzi do daleko odbiegających od zwykłego charakteru „omówienia nowej publikacji” rozważań. W jednym z przypisów do rozdziału charakteryzującego twórczość Bolesława Prusa Zawodziński mówi o Wokulskim „Nikt nie uwierzy, żeby ten hebes był zdolny nawet do zrobienia majątku”. Ten odbiegający od szablonu recenzji epitet budzi uporczywe skojarzenia. Nie tak dawno, wprawdzie w pierwszej niezorganizowanej fazie krytyki powojennej słyszało się „wymyślania” tego rodzaju skierowane przeciw postaciom Fredry. Sprawa jest więc symptomatyczna, ale nie oryginalna, wywodzi się z gwałtownego pragnienia rewizjonizmu, przede wszystkim skierowanego przeciw najwybitniejszym i najbardziej żywym w świadomości ogółu twórcom. Cały rozdział dotyczący Prusa zmierza wyraźnie w tym kierunku. Zawodziński usiłuje dowiedzieć, że Prus nie był postępowcem i demokratą, że nie może sobie rościć prawa do miana realisty, że (z małymi wyjątkami) nie umiał budować charakterów, że utwory jego, zwłaszcza „Lalka” i „Emancypantki” są wadliwie zbudowane.

Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że gdyby autorowi naprawdę udało się tego dowiedzieć byłby uznany za największego krytyka współczesności. Argumenty jego są jednak dość mało przekonujące i sformułowane w sposób budzący poważne zastrzeżenia. Oto przykład — „Wraz z ostatnimi sprostowaniami co do charakterologii Prusa (zresztą jak za chwilę zobaczymy, sprawy jego „psychologizmu” bynajmniej nie

wyczerpującymi) przechodzimy od skaz na jego realizmie do ogólniejszych niedostatków artyzmu jego powieściopisarstwa... i dalej „Mówić o kompozycji „Emancypantek” jako całości, w ogóle niepodobna; można „ocalić ich twarz” pod tym względem traktując je jako cykl czterech zupełnie odrębnych utworów...” Ten ton wyższości i bezapelacyjności rozstrzygnięć w stosunku do Prusa, który „w „Placówce” zdobył się nawet na wystarczającą zwartą i zamkniętą budowę utworu” wytwarza pewną nieufność wobec cenionego krytyka, jakim jest Zawodziński. Rodzi pytanie, czy krytyka nie oparta na gruntowniejszych badaniach historyczno-literackich ma prawo do sądów tego rodzaju? Zastrzeżeń nasuwa się wiele — czy na przykład nie należy ustalić, jak jest rozumiany termin realizmu, przed odmówieniem Prusowi prawa do miana realisty? Co stanowi kryterium realizmu, skoro Sienkiewicz nie jest realistą, bo w jego utworach brak realizmu szczegółów, a Prus nie jest realistą pomimo, że „nie było nad niego malarza polskiej wsi we wszystkich szczeblach jej drabiny społecznej” przede wszystkim dzięki bogactwu realiów?

Zagadnienie jest poważniejsze niż wyznaczenie „Trójcy powieściopisarzy” takich czy innych etykietek, dotyczy bowiem sprawy stosunku krytyki literackiej do historii literatury i socjologii. Wydaje się, że dopóki nauki te nie rozstrzygną pewnych zasadniczych problemów, dopóki nie wypracują podstawowych określeń i charakterystyk epok, dopóki sądy krytyków będą ciągle narazone na wielki subiektywizm i gotowości. Będą też często grzeszyły w myślnie pojętym rewizjonizmie, który miesza sprawy dotyczące ideologii pisarza i sprawy wartości i ważności obecnej dzieła. Może warto by rozważyć i u nas, płodne dla krytyki różniczenie radzieckiej nauki o literaturze, która odrębnie traktuje ideologię pisarza i „wymowę” jego obrazu i która bardzo stanowczo przeciwstawia się identyfikacji tych dwóch zupełnie różnych spraw.

Drugą dość palącą sprawą byłoby jak się zdaje, uświadomienie sobie stosunku rewizjonizmu do tradycji kulturalnej — gdyż zbyt pochojne i karkołomne próby często wyrządzają właśnie najcięższe społeczne straty. Rozumie to socjologia nauka o literaturze i teatrze. Wbrew dość rozpowszechnionym opiniom żywi ona szacunek dla dzieła przeszłości i trudno przypuścić aby atakowała pisarza nazywając jego postaci „glupimi głęmi” lub „hebesami”. W jednym z rozdziałów interesującej książki Sachnowskiego „Reżisura i metodika ee преподавания” dotyczącym stosunku reżysera do tekstu sprawa szacunku dla autora jest postawiona niezwykle ostro. Nawet reżyser (któremu u nas daje się w imię aktualnych potrzeb społecznych tak wielką swobodę) musi dokładnie zrozumieć dzieło i odtwarzać je zgodnie z kształtem i wymową ideologiczną nadaną mu przez autora.

W Postscriptum Zawodziński pisze, że studia jego „miały zaszczyt służyć punktem wyjścia bardzo cennych rozważań Andrzeja Ślawara... i stając się „przedmiotem naganym” były jak można wnioskować początkiem płodnej dyskusji. Byłoby to zjawisko istotnie cenne w dziedzinie naszej myśli krytycznej. Czy jednak ze społecznego punktu widzenia rewizjonizm tego rodzaju jest pożyteczny czy szkodliwy — może być na pewno problemem. Cenny jest jako zaczątek pewnego fermentu, jako bodziec do głębszych i wnikliwszych krytyk, ale może się zdarzyć i zdarza się częściej, że autorytet krytyka zaciąży w dużej mierze, że opinia taka utrwała się i krzywdzi pisarza i naszą teraźniejszość, pozbawiając ją prawa uznania dla tych, których chcemy uważać za przodków w dziedzinie myśli lub artyzmu. Można by sądzić, że jest to specjalnie niebezpieczne u nas, gdzie mamy stosunkowo ubogie dziedzictwo myśli liberalnej i prawdziwej „szutki” i gdzie choćby niewielka lekkomyślność rozbija jednolitość tradycji kulturalnej. Przeważa też — jak widać na przykładzie Fredry — do paradoksalnych konsekwencji. Bo jeśli można się zastanowić czy warto obecnie wystawiać komedie Fredry w sposób zgodny z intencją autora i z tak zwanym „ówczesnym duchem czasu”, czy też ich wcale nie pokazywać — to wydaje się bezcelowe robienie z „Dam i Huzarów” strywializowanej farsy, operującej tanimi, a często wulgarnymi efektami komizmu. W tym wypadku są to właśnie konsekwencje od lat trwającej dyskusji nad stosunkiem do Fredry i ciągle ponawianych prób nowego rewizjonizmu.

Cała sprawa wymaga zasadniczej i poważnej dyskusji, ustalającej sprecyzowane kryteria oceny artystycznej i socjologicznej. Wymaga znacznie wnikliwszej analizy utworów przeszłości, wiążącej ich kształt i charakter z warunkami historycznymi, wyznaczającymi, jak w wypadku „Trójcy powieściopisarzy” właśnie taki typ realizmu, jakiego byli reprezentantami. Wymaga wreszcie rozważań, w jakiej mierze utwory dalekie nam ideologicznie, mogą posiadać jako „dzieła sztuki” wartości kształtujące i wychowujące człowieka związanego z tradycją kulturalną przeszłości.

## Irzykowski w oczach przyjaciela \*)

KSIĄŻKA H. M. DĄBROWOLSKIEJ „O Karolu Irzykowskim” składa się z trzech, zupełnie różnych części — „Wspomnień biograficznych”, „Części niewydanych rękopisów” i „Komentarzy do dzieł”. Nie jest to kwestią przypadku, że pewne sprawy przerastające miarę kompetencji literata, spadają właśnie na barki literatki, którą z Irzykowskim łączyła długoletnia przyjaźń. Jest to raczej wina pewnych smutnych, a w tej jeszcze chwili w znacznej mierze usprawiedliwionych zaniedbań krytyki i nauki o literaturze. Fakt że nauka nasza nie zatroszczyła się dotychczas o bibliografię dzieł i artykułów Irzykowskiego, że nie mamy nie tylko monografii, ale nawet artykułu dotyczącego działalności literackiej i krytycznej, fakt ten jest więcej niż przykry — jest wstydliwy. Świadczy znowu o tym, że zawsze tak było, Irzykowskiego, że mało dbamy o ciągłość naszych poczynań w dziedzinie kultury i że wielokrotnie podejmujemy na nowo to, co już było odrobione przez innych. To zaniedbanie nauki usiłuje naprawić H. M. Dąbrowolska podejmując trud właściwie przerastający jej siły. Podejmuje go jednak w imię przyjaźni dla człowieka i kultu dla myślicielela. I robi słusznie. Książka jej posiada cele wyraźnie sprecyzowane w przedmowie. Autorka pragnie pokazać Irzykowskiego jako wybitnego uczonego i jako niezwykle wartościowego człowieka, który umiał żyć zgodnie ze swymi zasadami i zgodnie z nimi umierać. „Wspomnienia biograficzne” w sposób dyskretnie zabarwiony, emocjonalnie pokazują nam Irzykowskiego z dnia powszedniego, Irzykowskiego u schyłku swoich lat, nieporadnego w życiu codziennym i zawsze bez względu na okoliczności zajętego pracą naukową. Dąbrowolska pragnie przeciwstawić się opinii, że nikt nie lubił Irzykowskiego i wytłumaczyć jego osamotnienie. Usprawiedliwia jego rozgoryczenie i odsuwanie się od ludzi względami trudnego życia, brakiem uznania dla nowatorstwa jego myśli i poczynań. Rozważania tego rodzaju są może za mało przekonujące. Nie dają dostatecznie szerokiej charakterystyki tamtego okresu, nie wyjaśniają na czym polegało nowatorstwo koncepcji Irzykowskiego. Znacznie silniej przemawiają do czytelnika rozdziały opowiadające o życiu i śmierci autora „Walki o treść”. Bezpośrednio i sposobem najprostszym podany opis postępu Irzykowskiego, który umierając nie godził się na przyjęcie zastrzyków potrzebnych innym ranym, może najtrafniej przekonywać o tym, że ten człowiek umiał być wierny swoim zasadom i że dla niego nie istniał rozdźwięk między słowem i czynem. „Wspomnienia biograficzne” są wspomnieniami o pięknym charakterze i w tym znaczeniu posiadają wartość odkrywczą, pokazując raz jeszcze, że wielkość każdego wybitnego człowieka musi mieć swe ugruntowanie w jego wartości etycznej. Ta część książki Dąbrowolskiej na pewno będzie stanowić cenny materiał dla przyszłego monografisty Irzykowskiego, który podejmie trud opracowania jego roli w dziejach kultury polskiej. Z tego względu należy też ocenić trzecią część książki zesta-



Karol Irzykowski

wiającą bibliografię prac Irzykowskiego. Autorka i w tym wypadku podjęła zamierzenia przerastające możliwości przyjaznego czytelnika pism Irzykowskiego. Nie ograniczając się bowiem do chronologicznego zestawienia dzieł opracowała rodzaj komentarzy, które podają krótką charakterystykę kolejnych utworów i po kilka cytat z każdego z nich. Dąbrowolska podjęła coś jeszcze większego, a mianowicie zamierzała zrehabilitować i wynieść na wysoki stopień w hierarchii literackiej Irzykowskiego jako noweliste i pisarza. Nie wchodząc w meritum zagadnienia można mieć jednak poważne zastrzeżenia, czy istotnie parę uwag o „Pałubie” upoważnia do tak sensacyjnych wniosków. „Wydaje mi się — pisze autorka — że można twierdzić z całą pewnością, że w całej literaturze europejskiej nie ma podobnego dzieła. Irzykowski i jego „Pałuba” jest zjawiskiem niepowtarzalnym, staje się szczytowym osiągnięciem twórczości”.

Zbytniej łatwości uogólnień krytycznych sprzyja, cenny w części pierwszej — tu raczej szkodliwy nastrój emocjonalny. Autorka daje wyraz subiektywnym uczuciom i nastrodom, które nie znajdują dostatecznego usprawiedliwienia krytycznego. Mimo to a może właśnie dlatego w tym stanie zobojętnienia, które otoczyło pamięć i dzieło Irzykowskiego jest to raczej celowe. Budzi sprzeciw, rodzi chęć przypomnienia sobie twórczości autora „Pałuby” i wyznaczenia mu sprawiedliwego miejsca wśród współczesnych. Nawet więcej — wywołuje pragnienie sprawdzenia co z myśli i problematyki Irzykowskiego jest ważne i cenne w chwili obecnej. W tym rozumieniu książka Dąbrowolskiej jest prawdziwą przysługą przyjaciela — nie dlatego, że ofarca postać zmarłego krytyka kultem i pletyzmem, lecz przede wszystkim dlatego że wprowadza go pomiędzy żywych, których obowiązkiem jest oddać szacunek jego pamięci, wyznaczając mu właściwe stanowisko w dziedzinie myśli krytycznej i filozoficznej pierwszej połowy XX wieku.

Ewa Korzeniewska

\*) H. M. Dąbrowolska „O Karolu Irzykowskim” Wyd. Wl. Bąka. Łódź — Wrocław.

KAJETAN KOTOWICZ

## RADZIECKA REFORMA I POLSKA CENZURA

felieton gospodarczy

PRZED ROKIEM w Związku Radzieckim rozpoczęto wielką kampanię za budową nowych sklepów. Szczególnie forsowano przytym rozwój sklepów spółdzielczych. W ciągu roku wyremontowano względnie wybudowano 100.000 (sto tysięcy!) nowych przedsiębiorstw handlowych — w których po dawnemu sprzedawano skąpo — na kartki, i obficie — ale po wysokich cenach komercyjnych.

Nie rozumieli tego ludzie. Nie rozumiałem i ja. Pocóż bowiem rozwijać sieć handlową, wydatkować nieprodukcyjnie miliardy rubli, skoro po dawnemu człowiekowi pracy trudno w sklepach coś dostać?

Reforma — walutowo-gospodarcza, przeprowadzona w Związku Radzieckim w ostatnim czasie wyjaśniła wiele wątpliwości bez reszty. Wiadomo teraz poco wybudowano olbrzymią ilość nowych sklepów, i wiadomo, że susza 1946 r. która nawiedziła najżyźniejsze obszary Związku, uniemożliwiła wcześniejsze wprowadzenie reformy, wcześniejsze nasycenie towarami rynku wewnętrznego.

Prasa codzienna przyniosła sporo szczegółów przeprowadzonej świeżo reformy. Nie od rzeczy będzie przypomnieć niektóre z nich

Przede wszystkim wymieniono stare ruble na nowe w stosunku: za 10 starych jeden nowy. Wkłady w bankach i kasach oszczędności do wysokości 3.000 rubli wymieniono al pari. Wkłady większe, aktywa gotówkowe spółdzielni i pożyczki państwowe (skonsolidowane) straciły od 20% nominalnej wartości (spółdzielnie) do 300 proc. (pożyczki). Równocześnie zniesiono całkowicie regla-

mentację towarów — zarówno artykuły spożywcze jak i przemysłowe mogą być przez każdego nabywane po niskich cenach bez żadnego ograniczenia.

Jest jasne, że całkowite zniesienie reglamentacji bez równoczesnego przeprowadzenia reformy walutowej byłoby nie tylko premią, wypłaconą z kasy państwowej spekulantom i pokątnym kupcom (Polska nie ma monopolu na te branże) ale mogłoby nawet spowodować poważne zaburzenia na radzieckim rynku towarowym. Człowiek sprzedający swą pracę nigdzie na świecie nie zarabia milionów. Skromne tysiące, które przodownicy pracy są w stanie odłożyć rząd radziecki wymienia al pari. Ci którzy dorobili się na wojnie i nie mieli odwagi zanieść tych pieniędzy do banku (bo jakie wytłumaczyć ich pochodzenie?) otrzymają tylko dziesiątą część nominalnej wartości swej gotówki. I tak jeszcze otrzymają dużo, niemal — w realnej sile kupna — to samo co mieli, gdyż ceny towarów wyznaczone b. nisko. W warunkach gospodarki radzieckiej, przy niestwierdzeniu prywatnego władania środkami produkcji a więc niemożności postugiwania się cudzą pracą dla osiągnięcia zysków relacja 1 do 10 wydaje się aż zbyt liberalna. Związek Radziecki bowiem nie przesyła dziesięciolci dobrobytu i pokoju, pracownik radziecki nie miał możliwości — po zaspokojeniu swoich potrzeb — gromadzić wielkich sum w oszczędnościach gotówkowych. Chłop w sochozie, robotnik czy urzędnik mógł mieć na niezniszczonych obszarach Związku kilka ubrań, lepiej urządzone mieszkanie, mógł dokupywać na bazarach jedzenie czy artykuły pewnego luksusu ale dysponować nadwyżkami gotówkowymi w dziesiątkach tysięcy rubli nie mógł.

\*) K. W. Zawodziński, „Stulecie Trójcy Powieściopisarzy”, Łódź — Wrocław.

Dalszy ciąg studiów  
GEORGA LUKACSA  
„POWIEŚĆ JAKO MIESZCZAŃSKA  
EPOPEA”  
ukazuje się w następnym numerze.

Wynagrodzenia pracowników państwowych utrzymano na dotychczasowym poziomie. Oznacza to prawdziwy przewrót w dziedzinie stopy życiowej robotników radzieckich. Najemni pracownicy państwowi, żyjący od wypłaty do wypłaty, nie dysponujący „kapitałem” zyskują na reformie w sposób widoczny i oczywisty. Wycofawszy z obiegu miliardy wojenno-inflacyjnych rubli rząd radziecki dał klasie robotniczej najlepsze warunki startu w powojennym czasie a równocześnie uzyskał rzecz bezcenną w warunkach gospodarki socjalistycznej: stworzono nową podniętę do zwiększenia wydajności pracy.

We wszystkich krajach, które wprowadziły w czasie wojny reglamentację spożywcza i dotychczas ją utrzymywały wydajność pracy robotnika poważnie spadła. W czasie wojny podnięta do pracy — mimo reglamentacji, mimo braku towarów, na kupno których można wydać pieniądze — była wola przyczynienia się do zwycięstwa nad hordami Hitlera. Po skończonej wojnie robotnicy na całym świecie chcą spowrotem móc nabywać towary, do których konsumowania przyzwyczajeni byli przed wojną. Skoro reglamentacja na to nie pozwala — jedyną odpowiedzią robotników jest niechęć do pracy, niechęć do daremnych — indywidualnie — wysiłków, spadek wydajności pracy. Anglia dusi się tym problemem, dławi on postępy jej odbudowy, paraliżuje program eksportu. Ludzie nie chcą papierków, nie chcą kont bankowych. Chcą towarów.

Radziecka reforma, wprowadzając system zaopatrzenia nierreglamentowanego, ustalając ceny rządowe na b. niskim poziomie i nie zniżając ani o grosz dotychczasowych nominalnych wynagrodzeń pracowników — wytrąca pieniądze z ręki spekulanta a pracownika najemnego zachęca do zwiększenia wydajności pracy, gdyż każde 100 rubli zarobione pracą ponad normę to realna możliwość poprawienia swego bytu. Plan pięcioletni dzięki reformie walutowej, dzięki zapewnieniu realnej wartości zachętom do zwiększenia wydajności pracy będzie niewątpliwie wykonany w czasie znacznie krótszym.

Trzeba jeszcze pomówić o cenach. Ceny decydują przeciwko sile nabywczej zarobków pracowniczych.

W Związku Radzieckim istniały do niedawna dwa rodzaje cen rządowych: bardzo niskie na artykuły przydzielane na kartki i b. wysokie — komercyjne. Od zakończenia wojny rząd dążył systematycznie do obniżki cen komercyjnych i racjonalnej podwyżki cen artykułów reglamentowanych. Obecnie zniesiono całkowicie ceny komercyjne a wszystkie towary sprzedawane są po niskich — jakbyśmy w Polsce powiedzieli — cenach sztywnych.

Wg źródeł angielskich („The Economist” 27.12.47) chleb żytni kosztował na kartki w Moskwie i Leningradzie 3 ruble (cena komercyjna 20 r.), chleb pszenny 7 r. (kom. 100 r.), masło 15 r. (kom. 60 r.), buty 260 r. (kom. 600 r.). Ponieważ ceny te obowiązują obecnie w wolnej sprzedaży ekonomista angielski zastanawia się jaka — po Reformie — będzie stopa życiowa pracownika radzieckiego. Przyjmując za podstawę obliczeń przeciętny zarobek miesięczny 500 — 900 rubli (w „rejonie II” — Moskwa i Leningrad) i uwzględniając wartość mieszkania i świadczeń socjalnych, które pracownik radziecki otrzymuje darmo lub za b. niską opłatą szacuje on, że przeciętny zarobek pracownika radzieckiego reprezentuje siłę kupna równa 15 funtom angielskim. „Natomiast robotnicy wykwalifikowani i wszyscy przodownicy pracy, których miesięczny zarobek wynosi 3000 — 5000 rubli — pisze dosłownie ekonomista angielski — mogą obecnie, po obaleniu reglamentacji, żywić się a przypuszczalnie i ubierać lepiej niż ich brytyjscy koledzy.”

Warto zastanowić się nad tymi słowami. Te cyfry i wnioski z nich wyciągnięte — to nie są dane i wnioski angielskiego komunisty. Robotnik i urzędnik angielski, zarabiający dziś od 16 — 20 £ miesięcznie, w kraju prawie nie zniszczonym, w kraju dobrobytu i starej cywilizacji przemysłowej — o ile cofną się w ciągu ostatnich lat trzydziestu w porównaniu z robotnikiem radzieckim? Jego stopa życiowa — mimo iż czasem mniej zarabia od robotnika radzieckiego i nieraz bywa bezrobotny jest jeszcze wysoka. Konsumuje on bowiem — mówiąc językiem złośliwie — te „dole”, które wodzowie angielskiego kapitalizmu rzucałi mu przez 100 lat przeszło. Ale krzywa — dokąd prowadzi? W dół czy w górę?

\*\*\*

Ostatni raz w teatryku rewijowym byłem w 1944 roku. Nuda wiało ze sceny. — Przed miesiącem poszedłem — wzięwszy na odważę — na program łódzkiej „Syreny”. Wydało mi się że przeniosłem się w inny świat. Dowcipy antyrządowe, szarganie świętości — aż miło na sercu. A na Sylwestra poszedłem — już znacznie śmieiej — na program



Zimińskiej, Sempolińskiego i Sojeckiego. Idąc na ten wieczór, poświęcony humorowi, męczyłem się jedną myślą: skąd rząd radziecki weźmie dość towarów, żeby pokryć nierreglamentowane zapotrzebowanie? Żywność — dzięki wspaniałemu urodzajowi — niewątpliwie dopisze. Ale czy przemysł radziecki da radę? Czy towary z bieżącej produkcji i z importu pokryją zapotrzebowanie na ubrania i garnki emaliowane, na szkło kuchenne i buty? Czy masa towarowa, stojąca do dyspozycji rządu radzieckiego — odpowiada sile kupna nowego rubla? Czy magazynowano dotychczas towary, żeby inflacyjny rubel nie przekazał ich do dyspozycji spekulantom?

Zimińska nie wymaga komentarzy a Sempolińskiego obraża każdy komplement. Zabawa wyborna. Ale moje wątpliwości co do reformy walutowej w Związku Radzieckim rozwił dopiero Stefan Sojecki. Dowcipy z ministrów, z naszej waluty a nawet o zgrozo — z demokracji, ale naprawdę kąśliwe, nieraz świetne — a tu sala ryczy i szczerze się śmieje. A Urząd Kontroli — nie na scenie — lecz na widowni, rozbawiony jak reszta publiczności. W każdym szerzej pomyślanym zamierzeniu handlowym jest moment ryzyka. Nawet w gospodarce socjalistycznej. Trudno jest bowiem wymierzyć i wyważyć, zliczyć i podsumować wszystkie absolutnie elementy. Ten moment ryzyka istnieje również w pracy — każdego urzędu kontroli prasy i widowisk (tak w języku urzędowym nazywa się cenzura).

Jeśli chodzi o dowcip — sądząc po Sojeckim — ryzyko w Polsce zmalało prawie do zera. Jeśli chodzi o gospodarke towarową i pieniężną — sądząc po szczegółach Reformy — w Związku Radzieckim nie istnieje ono niemal. Obliczywszy możliwości w produkcji i w imporcie, wyliczywszy częściowo spekulantów i dając klasie robotniczej realną zachęte zwiększenia wydajności pracy — można nie obawiać się skutków powrotu do nierreglamentowanej gospodarki w handlu wewnętrznym.

Radzieckiej reformy walutowej nie należy w Polsce ani polemizować ani propagować. Warto by natomiast — na tej logice, celowości, gospodarczej skuteczności i skrupulatności w przygotowaniu — pilnie się uczyć.

Kajetan Kotowicz

## PRZEGLĄD PRASY

W ostatnim (2) numerze „Odrodzenia” poza kolumną bardzo pięknych wierszy Czesława Miłosza oraz zajmującym odpowiedziem Stanisława Wygodzkiego „Nazwisko”, szczególnie zainteresował mnie krótki, skromnie na kolumnie szóstej ukryty artykuł sprawozdawczy Józefa Gryca p.t. „O realizację ustawy bibliotecznej”. Zdawałoby się, że „Kuźnica” dość już pisała o tej najważniejszej być może dla kultury polskiej sprawie. Wracam jednak z uporem do tematu bibliotek, który, jak myślę, właśnie nas, literatów, powinien pasjonować bodaj czy nie bardziej, niż na przykład zagadnienie optymistycznej prozy. Jakże bowiem pisać optymistycznie czy pesymistycznie, jak w ogóle decydować się na pi-

sanie dla grupy ludzkiej większej niż grupa przedwojennych konsumentów literatury, jeśli wskutek braku realnej ustawy bibliotecznej, książki nadal docierają do cienkiej warstwy czytelniczej złożonej co tu ukrywać, prawie wyłącznie z inteligencji? Śmieszne wydają się tasłemowe rozhovory na temat upowszechnienia kultury lub projekty uprzywilejowania całej Polski w terminie miesięcznym, jeśli „Szyfrowe prace” kosztują 280 złotych polskich (co i tak jest poważną zasługą wydawcy), jeśli nie ma w księgarniach podstawowych dzieł z zakresu literatury polskiej i obcej, jeśli na biblioteki publiczne wydano „od roku 1944 do 1947 zaledwie około 100 milionów złotych”, jak to pisze w swoim artykule Józef Grycz. Cyfry podane przez autora cytowanego artykułu są tak ciekawe, że uważam za stosowne podać je poniżej. Otóż mamy obecnie „około 700 bibliotek gminnych, w tym 200 miejskich, 280 bibliotek powiatowych (na Ziemiach Odzyskanych w każdym powiecie), 4 biblioteki wojewódzkie i około 400 punktów bibliotecznych”. Czyli mamy bibliotek samorządowych, to jest tych, które powinny właśnie działać jako ośrodki upowszechnienia kultury, bo z bibliotek innych korzystają ludzie już w sprawach kulturalnych zainteresowani, około 1.000. Na dwudziestobezteromilionowe państwo, to nie wiele. Tym bardziej, że jak pisze dalej Grycz, „zyskaliśmy tylko przedwojenną liczbę bibliotek jako instytucji, natomiast daleko nam jeszcze do osiągnięcia przedwojennej liczby posiadanych przez nie książek”.

## KORESPONDENCJA

Jalu Kurek i faszyzm

Szanowny Panie Redaktorze!  
Donoszę uprzejmie, iż dnia 30 grudnia 1947 roku wystosowałem następujący list polecony do Dra Stefana Papee w Krakowie:

„Szanowny Pán Dr Stefan Papee w miejscu. Dzięki uprzejmości znajomych zapoznałem się z Pańską oceną mojej twórczości zamieszczonej w „Obrazie literatury polskiej” Mazanowskich tom II. Znajduję tam na str. 754 m. in. następujący passus:

„...Katastrofa powodzi w 1934 r. podpowiedziała Kurkowi nową powieść „Woda wyżej” (1935). Widać z niej, że Kurek wyzwolił się już zupełnie z oparów faszyzmu, przejął się natomiast chwytami powieściopisarstwa sowieckiego”.

Już nie mówię o kompromitującej „naukowca” beceremonialności, którą się szermuje w sposób godny ubolewania. Jakież tu utwór jest u mnie zrodzony w „oparach faszyzmu”? Przykro mi również stwierdzić, „le nie znam powieściopisarstwa sowieckiego. Jak więc wygląda wobec tego metoda „naukowa” historyka literatury? Ale pominąwszy już bezsensowność i grubą złośliwość tych zarzutów wobec pisarza, którego kosciąc ideowy zarysował się wyraźnie i niezłomnie w jego twórczości, — którego twórczość w najgłębszym znaczeniu stanowi jeden z najczystszych wyrazów demokracji i postępu w epoce „sanacyjnej” (trylogia społeczna „Grypa”, „Woda” i „Młodość”, wiersz „Abisynia”, pierwszy w poezji polskiej odważny drukowany protest przeciw barbarzyńskiej imperialistycznej agresji, wreszcie moja fe-

letonowa publicystyka na łamach „IKC”) — jakim prawem można stawiać uczciwemu pisarzowi tak głupie i krzywdzące zarzuty, jeśli nie potrafi się ich odpowiednio poprzeć argumentami? Już nie mówię o poziomie i obiektywności osądu zastosowanego do moich poezji i powieści. („Cudactwa w obrazowaniu” jako norma sądzona estetycznego poezji w r. 1947! — i to przy wierszach współtwórcy awangardy poetyckiej w Polsce! „Wiele wrzawy narobiła Grypa...” — tak się pisze o powieści, która zrewolucjonowała w Polsce po raz pierwszy najautentyczniejszą nędzę i ciemnotę wsi i otworzyła przed społeczeństwem ropięjący wrzód sprawy wiejskiej i chłopskiej!).

Nie żądam rzeczy niezwykłych od krytyków; robią, co mogą. Wiem, iż skończyły się czasy Iryzowskich i Hulka-Laskowskich. Ale należy pamiętać robotę nieodpowiedzialną, szkodliwą i niepoważną. Każdemu wolno nie znać się na poezji i na literaturze w ogólności — ale nie wolno swojej ignorancji podawać publicznie do wiadomości i ubierać w pozory znawstwa czy autorytetu. A zresztą — nie jest honorem być przedmiotem Pańskiej chwały ani dyshonorem być ofiarą Pańskiej złośliwości, bo zarówno Pańskie sądy dodatnie jak i ujemne są rezultatem Pańskiej niekompetencji krytycznej”.

Uważam za stosowne podać treść powyższego listu do wiadomości Pana Redaktora.

Łączę wyrazy poważania

Jalu Kurek

## Pożyteczna inicjatywa „Czytelnika”

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” zainicjowała w ramach akcji kulturalno-oświatowej dostarczanie do domów i wymianę w domach książek bieżących nakładów (nowości).

Oplata za dostawę, wymianę i obsługę przez specjalnie powołanych do tego celu łączników oświatowych, skalkulowana jest najprzystępniej — wynosi 20 zł tygodniowo.

Pragnący korzystać z usług TBO otrzymują katalog „zasadniczy”, obejmujący 20 tytułów różnych nowości. Niezależnie od tego co miesiąc dosyłane są „katalogi uzupełniające” o 10 tytułach świeżo wydanych książek z różnych dziedzin piśmiennictwa.

Z chwilą zapisu do „zespołu czytelniczego” stanowiącego ogniwem organizacji dostaw, obywatel uzyskuje gwarancję, iż książki wybrane zostaną mu dostarczone do domu bez troski i zabiegów z jego strony w kolejnej wymianie na 7-dniowy okres czytania.

Po przeczytaniu książek pierwszego zasadniczego katalogu dostarczane są katalogi następne. W tym czasie nie ustaje dopływ „katalogów uzupełniających”, których zadaniem jest zwiększenie wyboru chcącym czytać więcej niż jedną książkę tygodniowo, lub służenie zastępczymi tytułami w razie nie refleksowania na niektóre książki podane w katalogu zasadniczym.

Książki rozprowadzane w ten sposób nie powracają już na półki magazynów. Po dokonaniu 20 wymian rozlosowywane są wśród uczestników TBO, a więc zostają wchłonięte przez ogół, aby w dalszym ciągu zwiększać krąg miłośników czytelnictwa i książek.

Wytyczna działalności TBO jest ugruntowanie wpływu i znaczenia współczesnej książki w oparciu o zainteresowanie czytelnice. O nakładach decydować mają cele kulturalno-oświatowe a nie kalkulacje handlowe, przeważnie zawodne z racji drożyzny książki i jednostrojnego jej rozprowadzania. Ogół nie jest zdolny zakupić tylu książek, ile jest zdolny przeczytać.

Przy zorganizowaniu czytelnictwa w myśl wyżej wyłożonych zasad:

czytelnik ma pewność, iż książka współczesna w najkrótszym terminie dotrze do jego rąk;

autor — całkowita pewność celowości swej pracy z racji wzrastającego kręgu czytelników;

placówki wydawnicze, w oparciu o znormalizowane czytelnictwo (jedna książka na 20 wymian), zdolność wypuszczania nakładów dostatecznych do zaspokojenia potrzeb najszerszych mas i możność maksymalnego obniżania ceny książek.

System TBO dotyka zasadniczego problemu: — przenikanie książki do mas przez budzenie i zaspokajanie potrzeb czytelniczych każdego obywatela.

I w tym tkwi jego prawidłowość, nikt bowiem inny, tylko masy zdecydowały o rozwoju czytelnictwa i tylko wzrastające czytelnictwo zdecydować może o losie książki w Polsce.

I dlatego sprawa TBO poza wygodą i osobistymi korzyściami czytających ma znaczenie ogólne.

Uruchomione w pierwszym etapie organizacyjny dostawy TBO w trzech punktach Warszawy — Saska Kępa, Ochota i Pruszków — świadczą o słuszności ujęcia sprawy czytelnictwa w formę obsługi racjonalnej, specjalnej i stałej. Dalsza organizacja miast i dzielnic następuje.

Życzący sobie korzystać z dostaw TBO winni zgłosić swe adresy i nazwiska telefonicznie na nr 8-68-93 do godz. 15 lub przesłać pocztą na ul. Daszyńskiego 12 i p. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział Organizacji Ruchu Książki.

Reflektanci otrzymują wyczerpujące prospekty i katalogi po czym z chwilą zorganizowania akcji na terenie zamieszkania, nastąpi stały i prawidłowy dopływ do ich domów ciekawych i wartościowych książek, przeznaczonych do rozlosowania wśród czytających.

Wreszcie chciałbym wspomnieć o pożytecznym, popularnym wydawnictwie TUR. Jest nim „Biuletyn Oświatowy Zarządu Głównego TUR”. W nr. 6 znajdujemy kilka artykułów, które napewno przyczynią się do upowszechnienia kultury. Są napisane bezpretensjonalnie, bez akcentów demagogicznych, tak częstych w popularnych wydawnictwach tego typu, zawiera wreszcie — rzecz może najistotniejsza — solidne i dobrze podane wiadomości z poszczególnych zakresów wiedzy. Na wyróżnienie zasługują prace Michałowa o „Postępach i wstecznych prądach w przyrodznawstwie”, Siekierskiej rozprawka „Patriotyzm i szowinizm” z dobrą historyczną dokumentacją. Biuletyn TUR ma jednak swoje wady głównie w dziedzinie informowania swoich czytelników, zapewne instruktorów, o tym co należy czytać. Brak omówień książek, choć mogłyby to być omówienia książek nie tylko współczesnych, raczej podstawowych w literaturze. Poradnik świątlicowy jak gdyby ograniczał się wyłącznie do repertuaru ad hoc pisanego dla mas robotniczych, gdy tymczasem, jak mi się wydaje, celem wspólnej naszej pracy — i oświatowców, i pisarzy — powinno być udostępnienie jak największej ilości ludzi, najlepszych tradycji kultury.

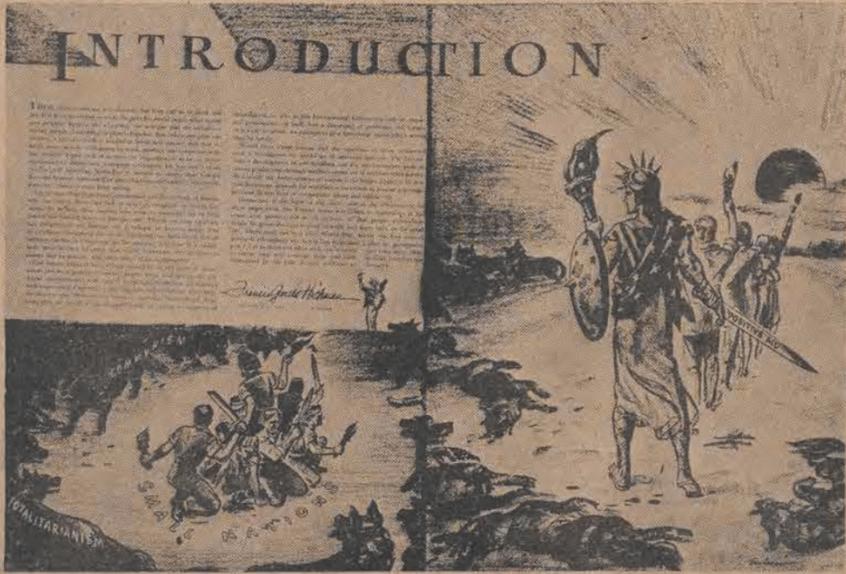
ph.

# Moty

## Bawełna i krew

Spójrzcie na ten wymowny plakat, gdzie „komunizm”, potraktowany na równi z „totalizmem” przedstawiony jest jako stado wil-

gotowany w tajnych aktach sztabu amerykańskiego projektu planu wojennego? Nie, to wysoce estetyczna ilustracja w fachowym



ków czyhających na zgubę bezbronnych małych narodów, które ocalić może jako jedyna pomoc... zakrwawiony miecz amerykańskiego kapitalizmu. Czy sądzicie, że jest to przy-

śmienie poświęconym sprawom przemysłu bawełnianego „The Cotton Trade Journal” wydawanym przez kongres producentów bawełny dla amerykańskich robotników.

## Po'nische Herausgeber Im Ausland

Dotarła obecnie do Polski „sechste Nachrichtenpublikation der Offeyna Warszawska im Ausland” — książka napisana przez Niemca, wydana przez Polaka w języku niemieckim. Jest to monografia omawiająca działalność „eines polnischen Frühdruckers in Spanien — Stanislaus Polonus”.

tylko w języku niemieckim: przecież niech zwycięża wyższa kultura, um der Menschheit wertvollste Dienste zu leisten.

buk

## Dwie Ikarie

Przed kilkoma dniami radio paryskie przyniosło wiadomość, że po ogłoszeniu w Grecji rządu ludowego na terytorium zajętym przez demokratyczną armię generała Markosa, władze ateńskie przeprowadziły masowe aresztowania wśród tych Greków, którzy są podejrzani o sympatię dla sprawy po-



stępu społecznego. Aresztowani zostali deportowani na wyspę Ikarię. „Podróż na Ikarię” napisana przez utopistę francuskiego, Cabeta w roku 1842, przedstawiała jakąś fikcyjną wyspę, na której panuje powszechna szczęśliwość. Podróż na Ikarię, którą rząd ateński urządził dla swoich obywateli, jest całkowitym zaprzeczeniem intencji dzieła Cabeta. Szkoda, że korespondenci radia paryskiego tak słabo znają własną literaturę, iż nie skomentowali należycie tej tragicznej podróży na Ikarię w nowym wydaniu z roku 1948!

ph.

## Kisiel i Dante

W ostatnim „Pod włos” („Tyg. Powszechny” z dn. 4.1.48.) Kisiel twierdził: 1) że nie jestem klerkiem — (zgadza się!), 2) nie jestem „przyjacielem całego świata” — (zgadza się!), 3) nie jestem intelektualistą — (o ile słowo to oznacza człowieka zajmującego się pracą intelektualną, muszę nie zgodzić się z Kisielem), 4) że lekceważę całą poezję polską, (nieprawda! Tylko „Grupa Pruk”), 5) że wymyślałem gdzieś komuś od „klechów” i „faszystów” (nieprawda! Chociaż używam obu tych wyrazów).

A wszystko zostało powiedziane przy okazji referowania mego odczytu o niektórych problemach współczesnej liryki, wygłoszonego jesienią 1947 r. w Warszawie.

W moim odczycie nie oceniałem ani charakteryzowałem całej poezji polskiej ostatnich lat. Była to rozmowa z młodymi warszawskimi poetami w ich klubie! Sądzę (i służę do-

wodami), że droga poetycka, którą młodzi dziś kroczą jest próbą powtórzenia drogi poetyckiej Ważyka, drogi zaczętej 30 lat temu, — którą ci młodzi chcą zacząć dziś (po 30 latach) akurat w tym samym miejscu, w którym Ważyk zaczynał. Otóż tematem mojej rozmowy była analiza drogi poetyckiej (paru poetów o podobnej biografii literackiej) starałem się wyjaśnić młodym skąd wychodzą, ku czemu muszą chcąc nie chcąc dojść.



Przy okazji marginesowo umiejscowiłem pczęść Ważyka i młodych w tzw. kontekście historyczno-literackim ostatnich 30 lat. W tych marginesowych uwagach oddałem całą sprawiedliwość takim poetom jak Tuwim i Broniewski, o innych nawet tak interesujących jak Miłosz i Gałczyński w ogóle nie wspominałem, gdyż poruszałem poezję pewnego typu, którego ani jeden ani drugi z tych poetów nie reprezentują.

Czy byłem, jak chce Kisiel demagogiczny, krzykliwy, surowy? Oczywiście — nieprawda — jak mnie znacie — byłem aniołkiem; czuły, delikatny, wdychający, w sam raz w guście zakręsty i salonika mojej ciotki z byłego ziemiaństwa.

Naurągałem jedynie moim młodym słuchaczom (i nie na zimno) za nieuctwo, gdy mi w dyskusji zacytowali jako przykład wielkiej apolitycznej poezji. Dantego.

Bo każdego by szlag trafił na takie dictum. I Was także, Kisielu. Żłk.

P.S. Ponieważ katolicy nie pierwszy artykuł poświęcają memu odczytowi i moim poglądom, ciesze się, że o skromnej pogadance tyle się pisze w prasie przeciwników, że piszą nawet ci, którzy jej nie słyszeli. Ale czemu tak demagogicznie, tak nieojajnie, tak klamliwie, tak lekceważąc prawdę i zasady „fair play” referuje się przy tej okazji moje poglądy? Wstyd, panowie „katolici”!

## „Pełnia ożogowska”

Tygodnik „Wies” ogłosiwszy w kręgu swych pracowników ankietę pt. „Życie i praca pisarza” drukuje m. in. następującą odpowiedź J. B. Ożoga, zaopatrzoną nagłówkiem „Autentysta” (cytujemy urywki):

„Wystarczyło mi powiedzieć kiedyś, że nie imponuje mi marksizm, ani leninizm, na który snobizują się nasi minimaliści i dekadenci spod znaku tzw. „Awangardy” i że wobec awersji do wszelkich obcych „izmów” wolę iść za własnym instynktem i własną filozofią, aby stać się ofiarą dla sfory rozszczekanych gryzlińców i różnego kalibru niedouków, redagujących tygodniki społeczne, tygodniki polityczne i tygodniki literackie. Od trzech lat ja jeden tylko miałem odwagę przemawiać w obronie np. naszego rodzinnego autentyzmu i od dwu lat autentyzm i ja jesteśmy systematycznie przemilczani. Zatem tak by wyglądało, że autentyzmu nie ma. Nie udało się dziecko. Nie umie ani Lenina, ani Sartre'a...”



„Z książek swoich najwyżej oceniam tom wierszy „Jej Wielki Wóz”, który ukazał się w ostatnich dniach w sprzedaży. Jest to wydanie zbiorowe, cały mój dorobek poetycki z lat od 1933 do 1947 r., pełnia ożogowska. Spodziewam się, że krytyka dużo będzie pisać. Może to najlepsza pozycja bibliograficzna powojenna na polu poezji?”

Wobec rozplenienia się reportaży lirycznego, stosowanego przez tzw. awangardzistów (Przyboś, Różewicz i S-ka) radzę poetom zwrot ku podzi, poematowi, pieśni, dumie, elegii, trenowi, dytyrambowi.

Prozaików należałoby zachęcić do pisania powieści historycznych. Nie ma powieści o rotmistrzu chłopskim Michałku i o udziale chłopów polskich w walce z potopem szwedzkim, nie ma powieści o Pyrzy, o Wielgosie. Niech by się ktoś pokusił o upoetyzowanie

wyprawy Batorego czy wyprawy Żółkiewskiego na Moskwę”.

Buńcz. zną wypowiedź nie grzeszącego skromnością „autentysty” zaopatrzył redaktor naczelny „Wsi” J. A. Król cierpliwym i wyrozumiałym komentarzem socjologicznym, ale kto wie? Może trzusi się na próżno i może popełniamy błąd, zapoznając, że świta nam już „pełnia ożogowska”, która przyćmi Lenina z Sartrem, marksizmem i awangardą. Co zaś do zamknięcia w strofy poetyckie wyprawy Żółkiewskiego na Moskwę, pytaliśmy naszego redaktora naczelnego, jakie jest jego zdanie w tym względzie. Powiedział, że uważa temat za zbyt świeży.

rdc

## Nagrody w konkursie na opowiadanie marynistyczne

Plenarnym posiedzeniem jury konkursowego dnia 13 grudnia ubiegłego roku, zakończony został Konkurs Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Sztuki i Kultury Artystycznej na nowele, albo opowiadanie o temacie marynistycznym. Skład jury był następujący: Włodzimierz Steyer — kontradmirał, sekretarz — Marian Brandys, członkowie: Edwin Jędrkiewicz, Marian des Loges, Janusz Urbański, oraz przedstawiciele Radia: Edward Fiszer i Alina Szenwaldowa.

Pierwszej nagrody nie przyznano w ogóle, natomiast rozdzielono je na dwie równorzędne drugie nagrody po 30.000 zł i przyznano je: Janowi Panasiewiczowi zamieszkałemu w Bydgoszczy za pracę pod tyt.: „Złodziej” i Andrzejowi Braunowi zam. w Łodzi, za pracę pod tyt.: „Krokodyl”. Trzy równorzędne trzecie nagrody po 15.000 zł każda — przyznano Mieczysławowi Wiśniewskiemu zam. w Gdańsku, za pracę pod tyt. „Na stoczni”, Jerzemu Szelidze zam. w Gdyni, za pracę pod tyt.: „Trzy spotkania z Polską” i Tadeuszowi Jasińskiemu zam. w Oliwie za pracę pod tyt.: „Rzeczwiśność”. Dodatkową nagrodę „Polskiego Radia” w kwocie 10.000 zł za utwór najbardziej radiofoniczny przyznano Janowi Panasiewiczowi za utwór pod tyt.: „Złodziej”. Ponadto jury wyróżniło następujące prace: 1) Narek — Mieczysława Jarosławskiego, Oliwa, 2) „Borkowa scheda” Mieczysława Jarosławskiego — Oliwa, 3) „Bractwo złotej kotwicy” Eugeniusza Bryzy — Katowice, 4) „W kowboju” Jerzego Ślaskiego — Sopot, 5) „Odyss wra do domu” — Franciszka Fenikowskiego — Poznań.

## KSIAŻKI NADEŚLANE

- Henryk Gottlieb: Wędrowki malarza, nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947, str. 243.
- Kornel Makuszyński: Skrzydlaty chłopiec (powieść lotnicza dla młodzieży) wyd. V., nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947, str. 233.
- Helena Boguszevska: Czekamy na życie, nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947, str. 224.
- Kornel Makuszyński: Panna z mokną głową (powieść dla młodzieży), wyd. VI, nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947, str. 268.
- Zofia Urbanowska: Złoty pierścień (spowiadanie dla młodszych dzieci), wyd. IV, nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947, str. 136.
- Ewa Szelburg-Zarembina: Niedziela, nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947.
- Kazimierz Goździewski: Na kursie 270° nakład, wydawn. „Prasa wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 63.
- Wanda Wasilewska: Legenda o Janie z Kolna, nakład, wydawn. „Prasa wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 123.
- Informator Powszechny, zeszyt I: ZSRR w cyfrach, nakład, wydawn. „Prasa wojskowa”, Warszawa, 1948, str. 32.
- Michał Żymierski i Marian Spychalski: Wojsko Polskie 1944—1947 (Wybór rozkazów, przemówień i artykułów), nakład, wydawn. „Prasa wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 317.
- Engelbrecht i Han'ghen: Handlarze śmierci (zarys rozwoju handlu i przemysłu wojennego), nakład, wydawn. „Prasa wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 377.
- K. Zenon Skierski: Neurodzaj (powieść), nakład księgarni Św. Anny, Kraków, 1947, str. 383.
- Wacław Sidorowicz: Maraton, nakład, wydawn. „Prasa wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 61.
- Wacław Sidorowicz: Higiena sportu i pierwsza pomoc, nakład, wydawn. „Prasa Wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 94.
- Wacław Sidorowicz: Biegi średnie, nakład, wydawn. „Prasa Wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 160.
- Zygmunt Bielezyk i Włodzimierz Druźbiak: Narciarstwo dla wszystkich, nakład, wydawn. „Prasa Wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 87.
- Wacław Sidorowicz: Biegi długie, nakład, wydawn. „Prasa Wojskowa”, Warszawa, 1947, str. 160.
- Józef A. Gawrych: Hotel Lomnitz (z tajemnicze sfera wywiadu), nakład, Śląskiej Spółdz. Wyd. Lechia, Katowice, 1947, str. 177.

My Słowianie lubim — jak wiadomo — sielanki. Może naprawdę powinna nas wzruszyć wizja przyszłej szczęśliwości, której źródłem będzie przyjaźń polsko-niemiecka?

Sześć milionów Polaków wyniszczyl Niemcy w obozach i krematoriach. Jeszcze snuje się swąd spalonych kości. — Nic to! Niemcy i Polacy — padniemy sobie nawzajem w objęcia (ich sehe sie vor mir stehen, wie sie die Hände ineinanderlegen...), polscy wydawcy — za przykładem Girsy — będą drukować

Redaguje: Zespół „Kuznicy”. Wydawca: Zespół „Kuznicy”  
 REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓLKIEWSKI.  
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.  
 Adres Redakcji i Administracji: ul. Piłkowska Nr 96 — Telefon 205-42.  
 CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.  
 WARUNKI PRENUMERATY:  
 miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.  
 Należność za prenumeratę należy wpłacać do F. K. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuznicy”.  
 D-018392 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, zwińki 2.